

## Prenumerata w Warszawie:

Rocznie . . . . . Rs. 7 kop. —  
Półrocznie . . . . . „ 3 „ 50  
Kwartalnie . . . . . „ 1 „ 75  
Miesięcznie . . . . . „ — „ 60

Za odnośzenie do domu  
dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca  
się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-  
meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na prowincyi  
i w Cesarstwie:

Rocznie . . . . . Rs. 9 kop. —  
Półrocznie . . . . . „ 4 „ 50  
Kwartalnie . . . . . „ 2 „ 25

## Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld. — 18 m.  
Półrocznie . 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-  
tor Redakcyi po kop. 10 za  
wiersz petitowy lub za je-  
go miejsce. Reklamy po  
kop. 25.

# GŁOS

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA  
BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden  
zeszyt dzieł naukowych.

## TREŚĆ: Obfitość kapitałów, przez J. L. P.

Huxley o kwestyi aryjskiej.

Nowa krytyka Marxa, przez J. K. Potockiego.

Symbolizm, przez Edwarda Paszkowskiego.

Z niwy literackiej swojej i obój, przez T. T. Jeża.

Głosy: Ekspedycje do Brazylii. — „Kraj“ o przeobrażeniu społecznym. — Głosy pp. Keppego, Hiszpańskiego i Chrzanoskiego w sprawie nadużyć w Muzeum. — Skrupuły Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. — P. M. Poznański rozgniewał się

Z obcego świata, przez J. H. Siemienieckiego.

Przegląd społeczny: Tomaszów Rawski, Lublin, Z gub. siedleckiej, Z pod Raciąża, Z gub. podolskiej, Równo, Kamienkoje, Petersburg, Kraków, Lwów.

Przegląd polityczny.

Kronika powszechna.

Odpowiedzi od redakcyi.

Ogłoszenia.

Odcinek: Franciszek Grzelak, przez Anielę Milewską.

(Dokończenie).

W dodatku: Z zakutego grodu, przez Kazimierza Glińskiego. (Ciąg dalszy).

### Od redakcyi.

Szanownych prenumeratorów kwartalnych prosimy o wczesne odnawianie przedpłaty.

### Obfitość kapitałów.

Ważny objaw ekonomiczny chwili dzisiejszej — obfitość kapitałów i, co za tem idzie, powszechne obniżenie stopy procentu; powiadamy powszechne, ponieważ w całej Europie dostrzegamy ten objaw. Kapitał tanieje wskutek wielu przyczyn, z których bezwątpienia najważniejszą jest zastój w działalności przemysłowo-handlowej. Ale obok tego działa tu także znaczny wzrost kapitałów. Z tych właśnie powodów kapitały zagraniczne, zwłaszcza francuzkie i angielskie, tak chętnie dzisiaj są umieszczane we wszelkich przedsięwzięciach kolonizacyjnych — w południowej Ameryce, w Afryce, w Azji.

Korzystając z obniżenia stopy procentu, rząd ruski, jak wiadomo, dokonał w znacznych rozmiarach konwersyi pożyczek państwowych, to zaś wpłynąć musiało znowu na zmniejszenie procentu, pobieranego przez banki i instytucje kredytowe. Różne banki ziemskie w Cesarstwie zamierzają również dokonać zamiany listów zastawnych 6-procentowych na 5-procentowe. Fakt ten jednak nie jest bynajmniej skutkiem nagromadzenia kapitałów, bo kredyt prywatny w całym pań-

stwie utrudniony jest i drogi tak samo, jak i w latach poprzednich.

Banki obniżyły stopę procentu, ale i tutaj kredyt prywatny po dawnemu jest drogi. Mówią wprawdzie, że i lichwiarze, czyli raczej kapitaliści, pożyczający obywatelom ziemskim pieniądze, są teraz dostępniejsi, w każdym razie jednak pobierają oni wygórowane odsetki; 12% a nawet 15 i 18% jest zwyczajną stopą procentową dla pożyczek krótkoterminowych, zupełnie pewnych.

Taniość i obfitość kapitałów wywołać powinny znaczny odpływ ich do różnych sfer działalności wytwórczej, ożywić rolnictwo i przemysł. Za granicą jednak jest to niemożliwym. Gospodarka nakładowa w rolnictwie nie opłaca się z powodu konkurencyi zboża zamorskiego. Produkcya przemysłowa rozszerzać się nie może, bo teraz już chroniczną jej chorobą jest nadmiar wytworów, dla których niema zbytu. Więc też kapitały europejskie odpływają do kolonij, gdzie łatwo korzystnie je umieścić; w kolonijach również przemysł szuka nowych rynków zbytu.

Ale u nas niema wcale rzeczywistej obfitości kapitału. Kredyt prywatny wciąż jest drogi, różne gałęzie działalności wytwórczej rozwinąć by się jeszcze mogły. Kiedy z Europy emigrują kapitały, od nas emigrują wyłącznie ludzie, nie znajdując w kraju pracy, wskutek ograniczenia działalności wytwórczej. Nie ulega, zdaje się, wątpliwości, że w porównaniu np. z 1880 r. liczba rąk zajętych w rolnictwie zmniejszyła się. Gospodarstwa większe ograniczają ilość służby i najemnika. Nie jest to jednak skutkiem zastąpienia pracy ludzkiej pracą maszyn, ale przeważnie upadku produkcyi rolnej, a może nawet zmniejszenia przestrzeni uprawnej lub zmiany systemu gospodarki. Wiele majątków znajduje się w stanie opuszczenia, w innych zaniechano nakładów, robót melioracyjnych i t. p. Produkcya przemysłowa nie upada wprawdzie, — owszem, jeżeli dane statystyczne są wiarogodne, wzrasta nawet, ale bardzo powoli, w stosunku mniejszym, aniżeli naturalny przyrost ludności. Nie może więc przemysł dać pracy tym rękom, które straciły zajęcie w rolnictwie.

Tymczasem kapitały tkwią w bankach, w papierach procentowych, i chociaż coraz mniejszy zysk przynoszą, właściciele ich nie szukają lepszego pomieszczenia dla swych funduszy w działalności wytwórczej. Taniość kapitału wywołać powinna naturalną reakcyję — odpływ ich do rolnictwa i prze-

mysłu, ożywienie przedsiębiorstw handlowych, co spowodowałoby z kolei pewne podwyższenie stopy procentu. Ale w rzeczywistości wcale tego nie dostrzegamy. Nowe przedsiębiorstwa i fabryki nie powstają, istniejące nie rozszerzają zakresu produkcyi, rolnictwo upada, popyt pracy nie zwiększa się, a płaca zarobna nie podnosi. Ludność, nie znajdując zajęcia w przemyśle lub rolnictwie, na oślep i tłumnie rzuca się w odmet emigracyi.

Dlaczego właściciele kapitałów, pomimo niżenia stopy procentowej, więżą swoje fundusze w papierach i nie zwracają się do działalności wytwórczej? Jedną z przyczyn jest bezwątpienia lęklivość naszych kapitalistów, brak przedsiębiorczości, ale nie jest to przyczyna najgłówniejsza. Ani rolnictwo, ani przemysł w obecnej chwili nie poszukują kapitałów. Rolnicy domagają się wprawdzie gwałtownie ułatwienia kredytu, ale głównie dla spłacenia ciężących na majątkach wysoko oprocentowanych należności, nie zaś dla rozszerzenia działalności wytwórczej. Przypatrzaliśmy niedawno ciekawe cyfry, wykazujące, że w ciągu ostatnich lat dwudziestu zmniejszyła się w Rosyi nie tylko ilość fabryk, ale również liczba robotników zajętych w przemyśle fabrycznym, a suma produkcyi w bardzo małej mierze wzrosła. Niektórzy ekonomiści ruscy przypisują to panującej obecnie polityce protekcyi celnej, która prowadzi do zastojów w działalności przemysłowej, osłabiając wpływ konkurencyi, a więc przedsiębiorczość. Przemysł zasklepia się w rutynie, bo daje znaczne zyski, dzięki podwyższonym cłom, nie ma więc potrzeby dokonywania ulepszeń technicznych, rozszerzania produkcyi i t. d. Zdanie to nie wydaje się nam zupełnie słusznym; bezwątpienia zawiera ono pewną część prawdy, ale nie objaśnia dostatecznie obecnego zastojów. Trafniejsze są może zarzuty, dotyczące tych lub owych szczegółów polityki celnej. Dla rozwoju przemysłu mechanicznego kilkakrotnie podnoszono cło od maszyn sprowadzanych z zagranicy, i fabrykanci dzisiaj domagają się znowu podwyżki. Jednocześnie zaś, w celu poparcia górnictwa, obłożono cłem zagraniczny węgiel kamienny. Spowodowało to, rzecz jasna, podrożenie węgla, tymczasem właśnie tani węgiel jest nieodzownym warunkiem rozwoju przemysłu mechanicznego. Widzimy więc fakt, że przemysł mechaniczny przenosi się do tych miejscowości, gdzie węgiel jest tani, a więc na południe Rosyi. Zakładają tam swe filije lub przenoszą się nawet fabryki

warszawskie, teraz zaś jedna z tutejszych fabryk (walcownia żelaza) przenosi się znowu do Dąbrowy. Ale są to szczegóły, przy których badaniu odbiedz musielibyśmy od głównej sprawy, pomijamy je więc, zaznaczając, że protekcyjnizmowi nie można wyłącznie przypisywać obecnego zastoju przemysłowego.

Przemysł Królestwa nie może się szybko rozwijać z dwóch względów: na rynkach Cesarstwa spotyka coraz silniejsze współzawodnictwo przemysłu centralnego, nowych zaś rynków zbytu znaleźć nie potrafił. Jednocześnie zmniejsza się spożycie miejscowe, chociażby z powodu upadku produkcji rolnej. W każdym razie jednak przy większej przedsiębiorczości znalazłyby się takie gałęzie przemysłu, które posiadają naturalne warunki rozwoju i z korzyścią mogą być eksploatowane.

Nagromadzenie kapitałów w bankach i papierach wartościowych musi doprowadzić do większego jeszcze obniżenia stopy procentu, jeżeli nie znajdzie się dla nich odpływu. Ponieważ ani rolnictwo, ani przemysł bezpośrednio z kapitałów tych korzystać nie mogą, nie umieją lub nie chcą, ani kapitaliści nie chcą w tych gałęziach wytwórczości umieszczać swych funduszy, trzeba wynaleźć dla zapasu inne drogi odpływu. Z pewnością powstawać będą różne instytucje finansowe, u nas np. mówią już o banku melioracyjnym — które pośrednio mogą się przyczynić do ożywienia wytwórczości. Projektowane zmiany w prawie o stowarzyszeniach akcyjnych wywołają powstanie nowych przedsiębiorstw, daleko łatwiej bowiem poruszyć kapitały drobne, aniżeli rozbudzić inicjatywę prywatną. Według projektu nie trzeba będzie brać koncesyj na towarzystwo akcyjne, co utrudniało dotychczas zakładanie tego rodzaju przedsiębiorstw. Wreszcie rozpocznie się znowu budowa dróg żelaznych na większą skalę; niektóre pisma ruskie mówią już nawet o nowej „erze kolejowej“. Wszystko to z biegiem czasu wpłynąć może pośrednio na ożywienie działalności wytwórczej, dziś jednak widzimy, że rolnictwo i przemysł znajdują się w zastoju, kredyt prywatny jest drogi, ludność pracująca napróżno szuka zajęcia, nagromadzenie zaś i unieruchomienie kapitałów wywołuje obniżenie stopy procentu, bez żadnej korzyści dla ekonomicznego rozwoju społeczeństwa, a nawet z jawną jego szkodą. Z tego względu wszystkie takie środki, jak

konwersyje długów państwowych i listów zastawnych uważać należy w danej chwili za pożądane, o ile tym sposobem uda się pośrednio skierować kapitały do przedsiębiorstw wytwórczych.

J. L. P.

## Huxley o kwestyi aryjskiej.

### II.

W chwili obecnej cztery wielkie, odrębne wodozbiory — morza: Czarne, Kaspjskie, Aralskie i jezioro Bałkaszk zajmują południowe krańce rozległych dolin, ciągnących się od oceanu Północnego do górskich krain Bałkańskiego Półwyspu, Azji Mniejszej, Persyi, Afganistanu oraz wysokich płaskowzgórzy Azji Środkowej — aż do Ałtaju. Taki stan rzeczy jednakże jest stosunkowo nowożytny: w okresie niezbyt odległym ląd Azji Mniejszej ciągnął się nieprzerwanie od ładu Europy, po przez dzisiejszy Bosfor, tworząc kilkaset stóp wysoką zapórę, tamującą wody Morza Czarnego. W ten sposób rozległe obszary Europy wschodniej oraz zachodniej części Azji Środkowej tworzyły duży rezerwoar, którego najniższa krawędź była prawdopodobnie o jakie dwieście stóp ponad poziomem morza. Do tego basenu wlewały się największe rzeki europejskie, jak Wołga i Dunaj, oraz wielkie podówczas azyjatyckie rzeki — *Oxus* i *Jawartes*. Zamiast odrębnych mórz: Czarnego, Kaspjskiego i Aralskiego, miało się wtedy jedno wielkie morze Ponto-Aralo-Śródziemne, wysyłające zapewne ramiona swe i fiordy do niższych dolin Dunaju i Wołgi (w której obecnie znajdują się muszle kaspjskie aż do Kummy), Uralu, oraz innych rzek, wpadających do niego. Jednocześnie istnieją też powody do mniemania, że północny brzeg Azji, okazujący teraz wszędzie ślady świeżego wznoszenia się, był położony o wiele dalej ku południowi, niż dzisiaj. Następstwa takiego stanu rzeczy miały bardzo doniosłe znaczenie dla zajmującej nas tu kwestyi. Naprzód, w zachodniej części Eur-Azji Środkowej musiał panować klimat morski, nie zaś, jak dzisiaj, wybitnie lądowy. W ten sposób dzisiejsza wschodnia granica niektórych drzew, np. buku, nie istniała wówczas i jeżeli pierwotna mowa aryjska sięgała starożytności tak odległej, to argumenty, oparte na znajdowaniu ich nazwy w jednych językach aryjskich, a niezajdowaniu jej w innych — tracą swoją podstawę. Przykład ten powinien wystarczyć naszym czytelnikom do wykazania, jak dalece wiążą się ze sobą dane rozmaitych gałęzi wiedzy oraz jak najniespodziewaniej wywód jednej z nich może zmienić drugą. Dalej europejska i azyjatycka połowa Eur-Azji były od siebie odcięte przez morze Ponto-Aralo-Śródziemne oraz jego

przedłużenia. Po trzecie, bezpośredni przystęp z połowy Europejskiej — do Azji Mniejszej, wyżyn Perskich, Afganistanu, Kaukazu był jaknajzupełniej odcięty, gdy, z drugiej strony, plemiona wschodniej części Azji Środkowej również były odgradzone od Persyi i Indyi wysokimi łańcuchami gór i płaskowzgórzy. W ten sposób, jeżeli rasa długogłowych blondynów istniała już w epoce całkowitej rozciągłości morza Ponto-Aralo-Śródziemnego, to przestrzenia, najbardziej sprzyjającą jej rozwojowi a wolną od wszelkich poważniejszych najazdów żywiołów obcych z Azji, była północna oraz wschodnia Europa.

Z biegiem czasu cztery morza, wymienione wyżej, przybrały postać swą dzisiejszą, a w ciągu tej sprawy rozległe równiny, ukazujące się pomiędzy oddzielenymi już od siebie morzami, stały się łatwą drogą, wiodącą do Kaukazu i Turkiestanu, którą zużytkować mogła dobrze rasa długogłowych blondynów, udając się na Wschód. Jednakże, ten sam proces osuszenia się łądów umożliwiał również drogę ze Wschodniej części Azji Środkowej — na Zachód; ostatecznie zaś pra-plemie Aryjskie mogło być łatwo rozpaść się na dwie części, jak to się teraz nawet dzieje, pod wpływem dążenia ku Zachodowi krótkogłowych mongolowatych brunetów. Ztąd też wnosić wolno, że nawet, zanim Aryjska mowa pierwotna dosięgła całkowitego swego rozwoju, jego przebieg był już odmiennym w rozmaitych okolicach, a tem samem, że jakaś jednostajna pierwotna mowa aryjska nie istniała nigdy. Istniała natomiast i istnieje aryjska rasa, co znaczy, że charakterystyczny rodzaj mowy, zwanej aryjską, rozwinął się jedynie wśród długogłowych blondynów, bez względu na to, iż wiele mogło się tam zmieniać pod wpływem domieszek nie-aryjskich. Co do siedziby Aryjów, to była nią Europa — wschodnia część wyżyn środkowych i przestrzeń na zachód od Uralu. Z tej okolicy szerzyli się oni: na zachód — po brzegach morza Północnego, do Anglii, gdzie, prawdopodobnie spotkali się z długogłowymi brunetami; do Szwajcaryi i Niemiec południowych, gdzie mieszały się z brunetami krótkogłowymi; do Włoch, gdzie krótkogłowi bruneci, jak się zdaje, obficie zaludniali północ, zaś długogłowi — południe; nakoniec, do Półwyspu Bałkańskiego, o którego najdawniejszych mieszkańcach nie wiemy nic prawie. Istnieją dwie drogi do Azji Mniejszej: jedna — przez Bosfor, druga — przesmyki górskie Kaukazu; Aryjowie mogli być korzystać z obydwóch. Wreszcie, odłamy południowo-wschodnie rozkrzewiły się prawdopodobnie stopniowo po Turkiestanie Zachodnim, a stworzywszy pierwotne narzecze Indo-Irańskie, zaludniły z czasem Persyję oraz Indostan, gdzie języki ich przybrały swą postać ostateczną. Podług tej hipotezy, pojęcie, że Teutonowie i Celty przywędrowali z okolic Pamiru i Hindu-Ku, jest tak dalekiem od prawdy, jak przypuszczenie, że Indo-Irańczycy wywędrowali ze Skandynawii. Każę ona przy-

stojąc, drzemał nieszczęśliwy, dopóki nogi nie zwisły; wtedy siadał znów na łóżku i plecami opierał się o ścianę.

Nauka okazała się bezbronną wobec potęgi choroby okrutnej.

Stara Walkowa od początku namawiała, aby udano się z chorym do znachora. Stoczyłam z nią kilka utarczek, chcąc przekonać, że człowiek bez nauki nie może leczyć skutecznie; słowa moje drażniły starą, lecz nie przekonywały wcale. Upierała się wciąż przy swoim i jednała sobie sprzymierzeńców w rodzinie. Franciszek pragnął ratunku albo ulgi w cierpieniach, Marysia stała po jego stronie, Waśko i Józia nie odzywali się ze zdaniem, tylko Wosio kulawy, widocznie przekonany moimi dowodzeniami, twierdził stanowczo, że ten, kto się nie uczył na doktora, nie umie leczyć.

Zostaliśmy jednak oboje pokonani, a Walkowa odniosła zwycięstwo. Wsadzono chorego na wóz, owinięto pościelą i zawieziono

kilka mil, w dniu zimowym, po bardzo złych drogach. Żona i matka towarzyszyły.

Kiedy nazajutrz zaszłam do chaty Grzelaków, zastałam Franciszka leżącego spokojnie na łóżku, oddychał dość swobodnie, rozkoszował się pościelą.

Walkowa z miną zwycięzcy opowiadała:

— Anu, żeby go było wcześniej przewieźć, zdrów byłby jak ryba, teraz już za późno. Ten doktor powiedział tak: żebym go był prędzej widział, poradziłbym, teraz już późno, choroby zmódz nie mogę, bo zanadto się rozgałęziła wewnątrz. Powiedział, że teraz jako może zażegnać od wielkich boleści, zażegnał i tak jest, spał dzisiaj spokojnie w łóżku, nie przewieszał się na tym powrozie, na co już patrzeć nie było można. Żeby mię byli od razu usłuchali, wcale co innego by był! A teraz, mój Boże, już z nim koniec! I ja, mój Jezu, doczekać tego muszę, abym była na jego pogrzebie! mojego dziecka kochanego! A to nie było dziecko, to nie był syn, ale to

## FRANCISZEK GRZELAK.

Szkicowała

Aniela Milewska.

(Dokończenie).

Nazajutrz zrana Franciszkowa pobiegła do dworu po radę i leki. Kiedy po kilku dniach choroba nie ustępowała, konie dworskie przywiozły doktora. Powiedział on, że skutkiem zapalenia nerek wywiązała się długa, ciężka, nieuleczalna przypadłość, zwana w medycynie chorobą Braida. Puchlina rozpoczęła się od nóg, a postępowała szybko w górę. Straszne nastąpiły męczarnie. Chory nie mógł doleżeć w łóżku, duszony nieustannym, krótkim, suchym kaszlem. Żona przeciągnęła gruby sznur od ściany do ściany, owinęła go poduszkami; wsparty na nich cokolwiek,

puszczać, że długogłowi blondyni, znajdując się w okresie swym zarodkowym, t. j. wtedy, gdy mowa ich nie była jeszcze przybrała w zupełności charakterystycznych cech aryjskich—rozrzućeni byli po rozległej krainie, zwanej konwencyjonalnie Europą, lecz która, ze stanowiska geografii, musi raczej być uważana za dalszy ciąg Azji. Co większa, jest rzeczą całkiem możliwą, a nawet prawdopodobną, że długogłowi blondyni mogli być przybyć do Turkiestanu, zanim język ich dosięgnął, a przynajmniej zanim przekroczył stadyum aryjskości pierwotnej, oraz że cała sprawa wyróżniczkowania się grupy Indo-Irańskiej odbyła się w ciągu długiego ich pobytu nad Oxusem. W ten sposób pytanie, czy kolebką Aryjów była Europa, czy też Azja, staje się w znacznej mierze li tylko sporem o słownictwo geograficzne.

Istnieją dowody, że w ciągu całego owego okresu ludzie mieszkali już we wszystkich częściach Europy, zbadanych dotąd należycie; pozostałe zaś po nich a odkryte szczątki kostne wskazują nie mniejsze różnice wzrostu i ukształtowania czaszek, niżli obecnie.

W całym dużym zasobie szczątków, odsłaniających nam najdrobniejsze szczegóły życia mieszkańca domów nawodnych — od okresu neolitycznego aż do rozkwitu epoki brązowej niema żadnego świadectwa jakiegos zakłócenia życia, jakie spowodowałyby musiał najazd obcy, a jakie spotykamy rychło po ukazaniu się okresu żelaza. Bezwątpienia, mieszkańcy owych siedzib nawodnych musieli podlegać wpływom obcym za sprawą handlu, oraz za sprawą powolnego osiedlania się pomiędzy nimi obcych przybyszów. Ich bursztyn, *jadeit* i cyna świadczą, iż miewali oni stosunki z okolicami dość odległymi. Ale bursztyn prowadzi nas niedalej jak do morza Bałtyckiego; wiadomo też dzisiaj, że i *jadeit* znajduje się w granicach Europy, gdy tymczasem cyna leży nie dalej, jak we Włoszech północnych. Argumenty przeto, wspierające się na obecności nazw tych przedmiotów w językach niektórych, a mające przemawiać na korzyść wschodniego pochodzenia Aryjów—również nie mają podstawy. Nadto, ku obronie takiegoż pochodzenia, wskazywano jeszcze fakta uprawy pewnych roślin i oswojenia niektórych zwierząt domowych; ale i te dowody nie wyprowadzają nas poza granice Europy południowo-wschodniej i wymagają przytem ponownego ich rozważenia ze względu na wskazane przez autora zmiany geograficzne i klimatyczne.

Na podstawie innych skojarzeń myślowych przechodzi Huxley do wniosku, że znajomość metali mogła przyjść do Europy zarówno z Azji południowej, jak i z Syberji, oraz że w braku wszelkich antropologicznych i chronologicznych dowodów, spekulacja może tu wyprowadzić harce najdowolniejsze. Ostatecznie, powiada on, posuwając możliwie najdalej hipotezę zapożyczenia, w końcu będziemy musieli zatrzymać się na jakiejś jednostce lub grupie jednostek, którym myśl nowa przyszła

najpierwej i którzy po wielu próbach i błędach nadali jej postać praktyczną. W samej zaś przyrodzie tej rzeczy niema żadnej podstawy do mniemania, że takie jednostki genijalne nie mogły się być znaleźć w kilku rasach, niezależnie od siebie. Pierwotna cywilizacja Europy jest np., jak się zdaje, całkiem tubylczą; podobieństwo zaś najważniejszych stadyjów cywilizacji w rasach najrozmaitszych i najbardziej odległych powinno byłoby ostrzedz nas, że archeologia nie jest tu również przewodnikiem pewniejszym od filologii.

W ten sposób obok archeologicznych, lingwistycznych i antropologicznych dowodów, powtórzonych tu niegdyś za Taylorem, a mających przemawiać na korzyść europejskiego pochodzenia Aryjów, czytelnicy mogą postawić teraz geologiczne i geograficzne dowodzenia Huxleya.

## Nowa krytyka Marxa.

W wydanem przed kilku tygodniami dziele W. Grahama *The Socialism Old and New* znajduje się rozdział, poświęcony analizie „mniemanych dążeń dziejów obecnych ku socjalizmowi”. Rozdział ten zawiera w sobie krytykę znanego prorocstwa Marxa, które dotyczyło sposobu i kierunku przeobrażenia się dzisiejszego społeczno-ekonomicznego ustroju na ustrój socjalistyczny. Autor dosyć surowo, jakkolwiek dość słusznie, krytykuje szemat marxowski. Zarzuty poniższe jednak więcej dotyczą komentatorów Marxa, niżli jego własnych sformułowań.

Zaznacza się dziś pospolicie pewną dążność ku socjalizacji stosunków społeczno-ekonomicznych. Dążność owa wyraża się dwojako: z jednej strony funkcje państwa rozszerzają się coraz bardziej, zwłaszcza w zakresie spraw ekonomicznych; z drugiej zaś, spostrzegamy coraz większe koncentrowanie się bogactw. Pierwsza z tych dążeń istnieje niewątpliwie: w Anglii początek jej stanowią „prawa fabryczne” z r. 1844; niemniej jednak tendencja owa wzmacniać się nie będzie, dopóki nie rozwinię się i dla społeczeństwa niebezpieczną się nie okaże druga dążność—ześrodkowywanie się bogactw. Druga ta dążność istnieje również i również się wzmacnia, a w pewnych wypadkach np. w razie nadużyć z jej strony, może ona doprowadzić do socjalizmu—nie z powodu swego z nim pokrewieństwa, gdyż jest właśnie przeciwstawieniem jego, lecz drogą reakcji może doprowadzić do nadmiernej reglamentacji państwowej, do zastąpienia syndykatów przez gospodarkę rządową, sprawowaną w interesie ogółu.

Zanim jednak, powiada autor, rozważymy okoliczności, które mogłyby spowodować taki socjalizm państwowy, niezbędnem jest rozjaśnić pewne nieporozumienie, dotyczące kon-

centracji kapitału, obalić pewne mniemanie o-paczne co do tendencji, która, gdyby istotnie była czynną, doprowadziłaby do socjalizmu drogą o wiele krótszą. Nieporozumienie to polega na tem: przypuszczano, że kapitał, koncentrując się coraz bardziej, skupia się w coraz mniejszej liczbie rąk. Tego błędnego zdania był naprzód Marx, później zaś—w Anglii Cairnes i Fawcett. Zdaniem Marxa socjalizm nadejdzie wtedy, gdy „coraz bardziej zmniejszająca się liczba potentatów kapitału dojdzie do niewielu już tylko olbrzymów-kapitalistów, zaś z drugiej strony wzrośnie ogólna suma nędzy, ucisku, niewoli, wyzysku i poniżenia” i kiedy nadto: „klasa pracująca, urosłszy w liczbę, zorganizowana, wyćwiczona i zjednoczona samym mechanizmem procesu wytwarzania kapitalistycznego, ożywi się duchem rokoszu”; wówczas, oświadcza on „wybije ostatnia godzina własności kapitalistycznej, wywłaściciele zostaną wywłaśczeni”. Tymczasem, powiada Graham, przepowiednia taka nigdy się nie spełni w sposób przez Marxa zaznaczony: ześrodkowywanie się kapitałów podąża istotnie coraz zwawiej, ale liczba właścicieli ich nietylko, że się nie zmniejsza lecz, przeciwnie, wzrasta z dniem każdym. Tak samo, jak nazajutrz prawie po przepowiedni Toqueville'a że „teraz już równość zapanuje na świecie”, ukazały się na widowni dziejowej nowe sprężyny nierówności, sprężyny ekonomiczne, tak jednocześnie prawie z wygłoszeniem prorocstwa przez Marxa koncentracja kapitału w „coraz to mniejszej rąk liczbie” poczęła ustępować miejsca innej koncentracji: ukazały się stowarzyszenia kapitalistów, a dalej syndykaty czyli stowarzyszenia stowarzyszeń. Kapitał koncentruje się tu niewątpliwie, powiada autor, ale liczba kapitalistów się nie zmniejsza.

Stosuje się to, rzecz jasna, do takich tylko krajów, gdzie proces kapitalizacji posunął się już dość daleko; w krajach innych sprawa ześrodkowywania się w „coraz mniejszej rąk liczbie” posuwać się jeszcze musi, jakkolwiek łatwo przewidzieć, iż, chociażby dzięki przykładowi, nie dojdzie nigdy kresu tak wysokiego i wcześniej ustąpić będzie musiała miejsca procesowi tworzenia się syndykatów i t. p.

Ale, zaznaczyć tu należy, druga połowa przepowiedni Marksa nie ziściła się również; zanim powiemy coś o krytyce Grahama, poświęćmy temu przedmiotowi słów kilka. „Ogólna suma nędzy, ucisku, niewoli, wyzysku i poniżenia” nie tylko nie powiększyła się w mierze przez Marxa przewidywanej, a odpowiadającej bodajby temu natężeniu koncentracji kapitalistycznej, jakie dziś spostrzegamy, ale, sądzić wolno, nie powiększy się już nigdy, w stopniu przez doktrynerów pożądanym. Przeciwnie, klasy pracujące zdobywają coraz większy udział w rządzeniu swemi sprawami, coraz wyraźniej czują i czuć każą innym swoją godność, coraz lepszą posiadają organizację, działają coraz skuteczniej. Nie koniec na tem: w walce z kapitalizmem występują one coraz

był mój ojciec! Już mi teraz wcale ten świat nie będzie miły przez niego! Od wielkiej boleści dziw serce nie pęknie! O mój Jezu, czegom ja to doczekała!...

Zawodziła tak wciąż, łamiąc ręce. Marysia nie zawodziła, tylko w milczeniu łyzy ocierała, a Franciszek leżał na pościeli bładny, przezroczyły, spoglądał smutnie na płaczące niewiasty i białe jego wargi z lekka drgały.

Przebył jeszcze w ten sposób kilka dni na ziemi, bez cierpień, spokojny i na śmierć przygotowany. Marysia oczy wyplakała po kątach, Wosio przywłóczył się do łóżka, brał rękę chorego i okrywał ją pocałunkami.

— Nie róbcie mu krzywdy—mówił umierający ojciec—nie róbcie mu krzywdy, bo ja będę przy was i będę patrzył na wasze postęпки. I... starej matce nie róbcie krzywdy, niech ona umrze w tej samej izbie, co ja... nie róbcie jej krzywdy... nie wyganiajcie precz!... szanujcie się... dzieci... dzieci... szanujcie matkę, tak, jak ja szanowałem moją

matkę... niech złe słowo nie postanie nigdy na ustach waszych!

Odwiedzałam chorego, czytywałam głośno ustępy z pisma św. Kiedy wysłuchał historii o Jobie, wzruszył się do łez i rzekł:

— Czy ja też jeszcze będę pocieszony?

Nadzieja uparta czepiała się jeszcze tego konającego serca.

Upadek sił następował nadzwyczaj prędko. Zgon przyszedł niespodziewanie, po zemdleniu. Ostatnie jego słowa były: „nie róbcie mu krzywdy!” Ostatnie wejrzenie padło na Wosia.

Kareta dworska poszła za jego pogrzebem, a ksiądz w pogrzebowej mowie nazwał go „sprawiedliwym przed Bogiem“.

Stara Walkowa przeżyła syna jeszcze lat kilkanaście. Wieku swego dokładnie nie znała, lecz sądząc z zapamiętanych wydarzeń, można jej było liczyć lat około 80-ciu. Trzymała się wciąż krzepko, sama wykopywała swoje kartofle, przędła i tkala aż do chwili,

kiedy lekkie zapalenie płuc zapędziło ją do łóżka, z którego też już więcej nie powstała. Umarła w tej izbie, gdzie syn jej Franciszek życie zakończył, pielęgnowana troskliwie przez Marysię.

Franciszka żyje dotychczas, opiekuje się kaleką; do łagodnych jej rysów, przyrósł wyraz smutku, a na wspomnienie o nieboszczyku oczy jej zachodzą mgłą łez.

Wosio zapełnia sobie czas wyrzynaniem z drewna krzyżyków, podpórek do kwiatów; wdycha zawsze ciężko nad swoją niedolą, choć dotychczas nie doznał niedostatku; powiada, że mu się przykrzy życie bezczynne, szczególnie wtenczas, kiedy wszyscy porochochodzą się za robotą, a on przebywać musi długie godziny w samotności; kołysze też swoich siostrzeńców, obiera kartofle, usiłuje być użytecznym, o ile mu tylko kalectwo dozwala.

częściej i coraz wyraźniej, jako posiadacze pewnych zasobów finansowych. Nie przesadzając ani trochę, czy taki stan rzeczy jest objawem przejściowym, czy też przedstawia on początek przeobrażeń donioślejszych, mocą których, a przy udziale reform politycznych, narzędzia produkcji przechodzą będą od pracodawców do robotników — utrzymuję tylko, że nie odpowiada to bynajmniej wymaganiom szematu Marxa.

Błędem tego wielkiego ekonomisty nie jest po prostu zbyt pośpieszne uogólnienie odbywającego się przed jego oczami ekonomicznego procesu i rozciągnięcie tegoż procesu na całą, niedaleką, jak sądził on, przyszłość, oddzielającą moment ówczesny od urzeczywistnienia ideałów socjalistycznych; błąd taki można byłoby wybaczyć pisarzowi, za czasów którego nie było jeszcze prawie innych metod koncentracji kapitału, oprócz ześrodkowywania go w „coraz mniejszej ręk liczbie”. Ale omyłka owa sięga o wiele głębiej i wiąże się ściśle z całokształtem historyjofizycznych i filozoficznych poglądów Marxa.

Spostrzegamy w niej przedewszystkiem pominięcie, czy też niepojmowanie ciągłości sprawy ewolucyjnej. Przejście od ultra-kapitalizmu do socjalizmu, od najwyższych wybujałości gospodarki indywidualistycznej do współdzielczości największej, przejście jakiegoś spodziewał się Marx — mogłoby się być dokonać jedynie za sprawą cudu. Nic tu nie pomogą frazesy o, niezrozumiałem zresztą w takich warunkach, coraz lepszym „organizowaniu się” klas pracujących, pogrążonych w swoją coraz większą „sumę” zapowiadanej im „niewoli, nędzy, ucisku, wyzysku i poniżenia”. Czynniki podobne mogą „wyćwiczyć” masę jedynie w kierunku bezmyślnych rzezi i buntów, po których jarzmo narzuconoby jej z nową, a może większą siłą. Ale, przypuszczając nawet, że owe, wykluczające się wzajem zjawiska: coraz większej niedoli pod wszelkimi jej postaciami i coraz większego „wyćwiczenia” w kierunku rozumnej organizacji, mogłyby się być ukazać społeczeństwu, jeszcze będziemy musieli uznać, że marksowski szemat zapoznaje ciągłość praw ewolucyjną. Przypuszczając na każde, iż przejście do socjalizmu, który jest dlań *najwyższym* współdzielczości ideałem i odbędzie się bez częściowego uprzednio wcielenia ideałów współdzielczych, a przynajmniej tylko przy pomocy jakiejś realizacji ich jednostronnej — „wyćwiczenia” mas pracujących. Znaczyło to przypuszczać, że wykształceni i oddawna już „wyćwiczeni” przedstawiciele kapitału nie potrafią również ocenić korzyści i zrozumieć potrzeby współdziałania, że w końcu nie doprowadzi ich do tego sam „mechanizm procesu kapitalistycznego wytwarzania”. Przypuszczenie takie było błędem o wiele głębszym, niżby to się zdawało mogło tym, którzy widzą w nim jedynie niezbyt dokładne sformułowanie rozwojowych procesów przyszłości: rozbiór bardziej szczegółowy dowiódłby nam, że omyłka ta była następstwem pewnej organicznej wady rozumowania Marxa — następstwem metafizyczności jego umysłu i płynących ztąd braków metody. Ponieważ jednak szczegółowe wykazanie i uzasadnienie mego twierdzenia jest na tem miejscu niemożliwe, zadowolnię się przeto zaznaczeniem tego tylko, iż marksowski szemat grzeszy *ominięciem* jednego z *pierwszorzędnych* czynników społecznego rozwoju — *czynnika świadomości*. Jest to skutek jego anty-heglo-wskiej metafizyki, skutek „materyjalistycznego pojmowania dziejów”. Zresztą, stojąc nawet na gruncie własnych tylko jego założeń, uwzględniając jedynie idee, wytworzone pod wpływem danych czynników ekonomicznych, mógł był pisarz niemiecki uniknąć swego błędu: ale ogólny *habitus* jego myśli kazał mu lekceważać pomijając takie nawet objawy świadomości społecznej, jakie on sam uznawał; tem bardziej więc kazał mu on lekceważyć, zapoznawać lub niedomyślać się nawet działania ekonomicznych czynników przeszłych, syntetycznej, konstrukcyjnej siły idei, znaczenia tradycji, wpływu czynników moralnych i religijnych, potęgi naśladownictwa (przykładu), świadomego przewidywania i reglamentacji stosunków przyszłych i t. d. Wyobraziwszy sobie ludzkość w postaci trzody bezmyślniej przepowiadał on nadzieje chwili, kiedy ukaże się jeden tylko prawie pasterz i jedna owczarnia kapitalistyczna, kiedy niesione na fali „ekonomicznych czynni-

ków” nieświadome kloce proletaryjuszów utworzą w końcu przyrodzoną tamę, która spokojny bieg rzeki kapitalistycznej uniemożliwi.

Co do nas, to sądzilibyśmy wprost przeciwnie. Niewłaściwością byłoby oznaczać jakiś moment dokładny wielkiego społecznego przeobrażenia; myślę jednak, iż w przededniu urzeczywistnienia ideałów współdzielczych oglądać będzie można nie największą nędzę i ucisk, ale raczej taki stan rzeczy, dla którego ostateczny współdzielczości tryumf będzie tylko uswięceniem prawnym. Zgóry można było przewidzieć, że przeobrażenie się kapitalizmu we współdzielczość nie inaczej odbyć się może, jak tylko drogą stopniowego usuwania sprzeczności pomiędzy uspołecznioną formą wytwarzania, oraz indywidualistyczną władania i podziału postacią; przewidywanie zaś takie każe domyślać się długiego stadyjum, które, socjalizmem jeszcze nie będąc, nie jest już bynajmniej sformułowanym przez Marxa procesem kapitalizacji: ta ostatnia w połowie nawet nie miała przebyć drogi, zakreślonej przez mistrza, który zapomniał o czynniku, mogącym powstrzymać jej rozwój, o czynniku świadomości.

Przejdźmy teraz do krytyki Grahama. Nie mógłbym przystać na twierdzenie tego pisarza, iż państwo dążyć będzie do rozszerzania swych funkcji jedynie wtedy, gdy druga dążność społeczeństw nowożytnych — do koncentracji kapitału za pomocą syndykatów i t. p. — okaże się dla ogółu szkodliwą, rozwijając się przytem coraz bardziej. Takie pojmowanie państwa, jako pewnej istności, oderwanej od konkretnych stosunków ekonomiczno-społecznych, trąci metafizyką. Jeżeli uwzględnimy wzrastający z dniem każdym świadomy udział w rządzie rozmaitych klas społeczeństwa, jeżeli w szczególności przypomnimy sobie, jak wielki wpływ na rozwój społeczny wywierała będąc te z pomiędzy nich, które, obok pojmowania swych interesów, posiadają jeszcze przewagę, jaką daje liczba, to zrozumiemy łatwo, że nie tylko niezbędność usuwania złego, ale również i chęć dostąpienia rzeczy dobrych będzie stanowiła potężną dźwignię społecznego postępu. Nie potrzeba oczekiwać aż monopolista obłoży masę spożywców podatkiem dowolnym, nie trzeba czekać jakiejś uorganizowanej zbrodni ekonomicznej — do tego, aby się domyślić, że w monopolu tkwi niebezpieczeństwo poważne: dość będzie niebezpieczeństwo to *przewidywać*. Nie trzeba czekać, aż syndykaty syndykatów wywłaszczą posiadaczy drobniejszych: dość będzie gdy zrozumieją oni, że jedyną ucieczką dla nich przed wywłaszczeniem, a raczej przed niepewnym jutrem — jest zapewnienie im samym takich korzyści z pracy oraz dzieciom ich takiego wykształcenia i utrzymania, jakie tylko porządna a powszechna organizacja wytwarzania, podziału i spożycia dać im jest zdolną. Do takiego zaś zrozumienia nie tylko nie potrzeba przeobrażeń całej ludzkości w kupę zgłodniałego, obdartego i „wyćwiczonego” motłochu, ale również nie ma potrzeby oczekiwać, aż syndykaty i trusty zaczną popępiać „nadużycia”.

Co do mnie, osobiście, to sądzę, że owo zrozumienie przez drobnych posiadaczy wspólności ich interesów z interesami pozostałej części klas pracujących jest tylko sprawą czasu, której pomyślnie rozwiązanie zależeć musi od szybszego lub mniej szybkiego krzewienia się świadomości społecznej: nie przesadza to, naturalnie, sposobów i metod owego krzewienia. Przypuszczam, że znaczny wzrost oświaty przyspieszy znakomicie tę sprawę, sam zaś on zależnym będzie od tego, o ile jednostki i warstwy, nie mające potrzeby obawiać się światła, zrozumieją jego doniosłość, o ile, rozumiawszy ją, potrafią zużytkować wpływy swoje i władzę, swój udział w rządach, na niekorzyść ciemnoty.

W końcu słówko jeszcze tu dodam pod adresem doktrynerów marksyzmu. Niewolnicze trzymanie się litery tekstu, cechujące umysły o usposobieniach talmudycznych, nie jest bynajmniej takim objawem hołdu, jakiego byłby pożądał wielki ekonomista. Przypuszczam — a przypuszczenie to wolno opierać na jego własnej polemice z Michajłowskim — iż szematu swego nie byłby sam Marx uznawał ani za jedynie prawdziwy, ani za obowiązujący powszechnie. Co większa, sądził nawet, że gdyby tylko dłuższe życie pozwoliło mu być świadkiem obecnego

rozwoju ruchów „udziałowo-akcyjnych”, „syndykatowych” i t. p. byłby on szemat swój rozszerzył. Gdyby zaś mógł widzieć, jak w tej samej Anglii, której stosunki dostarczyły mu tylu przesłanek, szerzy się dzisiaj świadomość społeczna, bądź szukająca wskazówek w czynnikach czasów minionych, bądź też wyprzedzająca obecną chwilę, sięgając w daleką przyszłość, bądź wreszcie czerpiąca swą siłę nie tylko w warunkach ekonomicznych — kto wie, czy nie byłby zmienił swego jednostronnego sposobu „pojmowania dziejów”.

J. K. Potocki.

## SYMBOLIZM.

W początku zeszłego miesiąca odbyła się w Paryżu biesiada, o której powiedziano, że stanowi ważną datę w rozwoju poezji francuskiej. Bankietowali symboliści, oblewając „Namiętnego Pielgrzyma” (*le Pèlerin passionné*), najnowszy zbiorek poezji Jana Moréas’a, okrzykniętego atamanem młodej drużyny, przygotowującej się do zdobycia... wieku XX, tymczasem zaś śmiało i rażno idącej do szturm.

Uczta zgromadziła około stu biesiadników, młodych poetów z obozu dekadentów i symbolistów, oraz pewne grono młodych muzyków, rysowników, malarzy, szeregujących się pod wspólną chorągiew. Przybyli również starsi, spoglądający zyczliwie na zwawy ruch, budzący się lub raczej rozbudzony już w młodem poetyckim gronie. Uznani mistrze spóczesnej poezji francuskiej ze szkoły „parnaskiej”, jak zmarły świeżo twórca poetyki „Parnasu” Teodor de Janville, Sully-Prudhomme, Armand Silvestre, Diert, José-Maria de Heredis... odesłali listy pełne zechęty. Jeden z najmłodszych parnasyjczyków, Catul Mendes, przybył osobiście na zebranie. Autor interesującego dziełka, *la Légende du Parnasse contemporain*, wracał właśnie z odczytów, jakie miał w Belgii w tym przedmiocie. Przybył również utalentowany krytyk tego obozu, wrażliwy na wszelkie nowe prądy, Anatol France, pobłażliwy i wyrozumiały jak zawsze. Był także rozczochrany Clovis Hugues, poeta z Marsylii, b. poseł i radykał; i Oktaw Mirbeau i Robert de Bonnières i inni. Przeważała atoli poetycka młodzież, znana zaledwie z ulotnych przeglądów, wydawanych w kwartale łacińskim i nieplacących zazwyczaj honorariów. Z pomiędzy bardziej już znanych: Karol Morice, poeta i krytyk nowej fali, autor dziełka *la Littérature de tout-à-l’heure*, Paweł Adam, autor *l’Art symbolique*, Felix Fenion, du Plessis, M. Vanor, Dumur, Raynaud, Viellé, Griffelin, Lintilhac, Valatte i t. d. i t. d. Zaproszenia podpisane były przez Maurycego Barrés’a, autora wydanego świeżo *Jardin de Bérénice* i bulanżystowskiego pośta, oraz Henryka de Réquier, symbolistę czystej wody. Prezydował tej uczcie Stefan (Stephane) Mallarmé, uznany za jednego z mistrzów młodej szkoły (symboliści odrzucają zresztą nazwę „szkoły” — są tylko obozem). Drugi mistrz, Paweł Verlaine, złożony niemocą na łożu szpitalnym, nie mógł przybyć, Moréas wniósł jednak pierwszy jego zdrowie, Mallarmé zaś we wstępnym toaście, skierowanym ku piewcy „Pielgrzyma” wspominał o „drogim nieobecnym”. Wogóle bankiet symbolistów był rzadkim objawem korporacyjnej niejako i koleżeńskie solidarności licznego grona, w którym jednak panowała z początku zupełna anarchia i, zdawało się, rozbieżne prądy. Złączono się jednak, obrano wodzów i patryarchów i zaświadczano publicznie o swem istnieniu: Prasa przygotowała to wystąpienie gruntowniejszymi studjami o symbolizmie, nie omisszając zaś wspomnieć ubocznie o bankiecie i jego bohaterze. Symbolizm stał się kwestyją dnia. — Czemże jednak jest ów niejednokrotnie już omawiany i przedrwiwany symbolizm?

Verlaine, interwiewowany przez reportera z Figara, przekłada nazwę „dekadentów”, jako mu sympatyczniejszą i bliższą; niektórzy z młodych obstają przy niej również, z tej może racji, że zachód bliższy jest świtania niż południe — większość jednak stanowczo oświadcza się za *symbolizmem*.

Jest to zaś naprzód postęp w poetyckiej

technice artystycznej—lubo ci młodzi niechętnie wymawiają wyraz „postęp”, a Charles Morice nazywa go, wślad za Edgarem Poe „ekstazą gapiów” (*extaze de gobemouaches* w przekładzie francuskim). — Każda zaś zmiana w poetyce jest we Francji rzeczą wielkiej wagi, niemal że rewolucją. Poszczególne stopnie w rozwoju poezji francuskiej były przede wszystkim wyłomami w ustalonych regułach form poetyckich. Romantycy zbuntowali się przeciwko despotycznemu przepisom Boileau, nie śmieli jednak pójść zbyt daleko. Parnasyjczycy prowadzili dalej dzieło wyzwolenia muz; symboliści poszli jeszcze dalej, docierając prawie do granic, gdzie się zaczyna zupełna już poetycka „licencyja”. Anatol France w kompetentnym rozbiorze poezji Moréasa (prócz wymienionego dwa jeszcze zbiorki: *Surtes* i *Cantilènes*—całkowite wydanie poezji Moréasa ukaże się niebawem) sprowadza popełnione przez tego poetę herezje do następujących: zniesienie cenzury, zarzucenie obowiązującej dotąd zmiany kolejnej rymów męskich i żeńskich, dowolne powiększenie ilości zgłosek w wierszu, różne zmiany rytmu, sposobów rymowania i formy zewnętrznej wierszy, wreszcie wyrzucanie samogłosek niemych przed spółgłoskami etc. etc. Mimo, iż są to wielkie grzechy, nawet z punktu widzenia parnasyjczyków — France daje symbolistom rozgrzeszenie i broni nawet tych innowacyj. Niewątpliwie zresztą zwrócili na nie uwagę tylko zawodowi specjaliści, aczkolwiek obznajmionych z „sztuką rymotwórczą” jest wielu we Francji, gdzie naukę robienia wierszy wykładają jeszcze w kolegiach i liceach. Szerzej rozprawiano o usiłowaniach symbolistów, zmierzających ku przeobrażeniu poezji w muzykę (jest nawet, czy była, osobna szkoła w łonie symbolizmu—„instrumentystów”), choćby z zupełnym zaniedbaniem treści a nawet sensu. Dodać zresztą należy, że symboliści mieli w tym kierunku poprzednika w osobie Bannville'a, który szczególnie w swych „Odes funambulesques” doprowadził kult formy i dźwiękowych czysto efektów do ostateczności, spotykając się na tem polu z naszym Soterem Rozbickim. Nie ulega jednak wątpliwości, że poezja francuska niezbyt jest melodyjną, a i w harmonii pozostaje jeszcze wiele do zrobienia—usiłowania więc w tym kierunku symbolistów są usprawiedliwione. Opowiadano także, iż symboliści chcą za pomocą liter wyrażać barwy i że u nich każda samogłoska ma swój kolor. Bawiono się tem rzekomem dziwactwem, które dziwić zbytnio nie powinno obznajmionych z nowszą fizyką, opartą na zasadniczej jedności drgań głównych lub świetlnych. Są to zresztą próby, nie będące znamioną cechą symbolizmu. Daleko bardziej upowszechnionem w obozie jest zamiłowanie do nowych lub nieużywanów wyrazów, oraz pewna niejasność treści, wynikająca poniekąd z samego już pojęcia o symbolu.

Co się tyczy języka nagrzeszono w tym kierunku wiele, tak że najbardziej nawet klasyccy z symbolistów, nie wyłączając Moréasa, potrzebowali by dodawać do swych utworów słowniczki, ażeby być zrozumiałymi dla szerszego ogółu. I to jednak nie jest częścią fantazji, pomijając liczne nadużycia w tym względzie. Karol Morice (w artykule napisanym z okazji bankietu) stawia sprawę języka daleko poważniej. Mówi on, że język literacki podupadł mocno obecnie.

Deklamacja w paroksyzmie romantyków, brutalne wysławianie się naturalistów, równie jak płytka wulgaryzacja naukowa i dziennikarstwo skaziły, powiada, piękny nasz język francuski, zalewając go wyrazami i wyrażeniami pozabawionemi wszelkiej wyrazistości, mocy, barwy i wdzięku. Dla oczyszczenia z tych naleciałości należy skąpać go u źródeł, w pełnych wyrazu i siły utworach francuskich z czasu wieków średnich, tej niewyczerpanej skarbnicy literackiej. Odnalezione w ten sposób słowa i wyrażenia skombinować trzeba z szczęśliwemi zdobyciami społecznymi, zapożyczonemi z prowincjonalizmów i żargonu, tych wiecznie młodych źródeł języka. Wtedy dopiero, mówi Morice, będziemy mieli na nasze usługi język obfity, prawidłowy i prosty zarazem, harmonijny i obrazowy, zdolny wyrazić zarówno pojęcie najbardziej odczuwane jak i najbardziej konkretne złudzenia.

Takim dopiero językiem można będzie z ca-

łą subtelnością i poezją oddawać symbole... Trzy dotychczasowe fazy rozwoju literatury francuskiej, mówi tenże krytyk, starały się badać złożoną istotę ludzką oddzielnie w jej objawach umysłowych, uczuciowych i zmysłowych (klasycyzm, romantyzm i naturalizm). Pragnieniem symbolistów jest stworzyć ludzką syntezę: wyrazić jednym rysem artysty całego człowieka we wszelkich jego przejawach. Ztąd konieczność symbolu... Idziemy wciąż za śladem rozumowań Morice'a. „Symbol ów, mówi on dalej, ma być zrównaniem (équation) pierwiastków realnych przedmiotu, które nam są poddawane (suggestionowane) z obrazem następnym, w którym ujawnia się (éclate) skutek całkowity, jeden i jednoczesny, jednoczący wszystkie rozproszone pierwiastki.” Będą to więc stopione w jedno wrażenia i wyobrażenia, jakie otrzymujemy od przedmiotu i o przedmiocie. Ztąd, ciągniemy dalej, konieczność wielkich uproszczeń i umyślnego zwrotu ku źródłom, ku tym epokom, w których rzeczy przedstawiają się w całej prostocie ugrupowań i barw. Ton bowiem i szczegół są zwoźnicze, dodaje krytyk, kolor zaś i kontury są jedynie prawdziwe. Idąc tą drogą „sztuka dąży do pochwylenia znamiennego rysu, czystej linii, kiedy model oddala się i niknie aż do tej cudownej chwili, w której rzeczywistość staje się marzeniem, historia legendą...”

Znaczenie tych subtelnych określeń zrozumimy lepiej, skoro uprzytomnimy sobie, że symbolizm jest przedewszystkiem reakcją przeciwko naturalizmowi. Jakoż kładzie na to wyraźne nacisk Morice. „Chodzi tu, mówi on, o co innego, niż o proste poszukiwania humanistyczne, o co innego, niż o bunt przeciwko przestarzałemu systemowi metryki i prozody francuskiej—symbolizm jest reakcją przeciwko naturalizmowi.” Stwierdził to również Verlaine i Moréas. Wyznawcy formuły naturalistycznej, mówił mistrz (do sprawozdawcy Figara), powieściopisarza, zerwali lepką tradycję literatury francuskiej, którą pragnęlibyśmy zawiązać. Dosyć już ciążyli oni nad naszymi umysłami. Wzrośliśmy w ich ciężkiej i jałowej atmosferze i w niej zatracili naszą młodość.

„Naturalizm” tłómaczy Morice, był niewątpliwie złem koniecznym. Reagował on brutalnie lecz użytecznie przeciwko idealistycznej przewadze ostatnich romantyków. Popada jednak w błąd niezmierny nie widząc w człowieku nic prócz zmysłowej maszyny i wytwarzając pojęcie pewnego indyferentnego, fizycznego fatalizmu, który robi z nas jakieś nieodpowiedzialne produkty dziedziczności i otoczenia”. Goncourt i Zola trwają właśnie w tych błędach naturalistycznych, główny jednak winowajca stoi wyżej i jest nim H. Taine. On to właśnie „usystematyzował ciężkie majaczenia niemieckie”, które następnie starali się wcielić w dzieła sztuki realności, naturalistycznej, weryści. Wszelka idea ogólna pozostała zatraconą; pozostały tylko poszczególne wypadki, zapuszczono się w drobiazgową analizę drugorzędnych akcesoryjów, labirynt bez wyjścia... Nie dziwimy się więc kontynuację Morice, że młodzi poeci podnieśli okrzyk wiosenny po tej nudnej, głupiej i czarnej nocy zimowej. Żądają oni powietrza i światła! Jeżeli otaczają dziś Moréasa z takim zapałem to dlatego, że umiał wypowiedzieć słowo, którego oczekiwano...

Rozpatrując symbolizm, jako reakcję przeciwko naturalizmowi, łatwiej zrozumimy naturę jego dążeń i określeń. Istotnie, jeżeli naturalizm wymagał drobiazgowego odtworzenia faktów widzialnych, namacalnych, bliskich, społecznych—to symbolizm starać się będzie o pochwylenie idealnej jedynie linii, znamiennego rysu duszy przedmiotów, widzialnych w pewnem perspektywicznym oddaleniu, w przestrzeni lub czasie. Ztąd ów zwrot ku wrażeniom prostym, czystym, prymitywnym, którego dokonali już przedtem prarafaelscy angielscy za przewodem Ruskina, uważając całe odrodzenie, inaczej zwane Renesansem, wraz z Rafaelem, za rodzaj rozkładowego naturalizmu. Prarafaelscy zwrócili się, jako ku swym wzorom, ku malarzom XIV i XV stulecia, znajdując w nich właśnie prostotę linii, jednolitość wrażeń, oskrzydłonych jakąś myślą etyczną. Symboliści z zamiłowaniem spoglądają na wieki średnie.—Morice mówi o *notre amour pour le moyen age* — widząc w epoce budowania

wielkich katedr gotyckich dużo prostoty, wiary, silnych wrażeń i organicznych (nie organicznikowskich) pierwiastków etyczno-społecznych. Z podobnem zamiłowaniem zwracają się i ku starym poetom sławnej Plejady, tworzącym bardziej bezpośrednio i swobodnie, bez krępowań się regułami założonemi później i naśladownictwem. Aspiracje te, noszące niewątpliwie cechę idealizmu, prowadzą w dalszej konsekwencji do obalenia wielu przepisów dzisiejszej estetyki, uważanych za niewzruszony i nieocfiony nabytek. Widzieliśmy, że symboliści patrzą na historję, jako na legendę, zrywają więc zupełnie z wymaganiami wierności czasu i miejsca przy odtwarzaniu artystycznym. Jak punkt widzenia nie jest obiektywny, lecz subiektywny, inaczej powiedzieć można społeczny i z tego stanowiska patrzą oni na wszystko, co jest oddalone, nie wahając się, świadomie zupełnie, fałszować owej rzekomo przedmiotowej prawdy historycznej, podobnie jak klasycy francuscy wieku XVII, który bohaterów greckich i rzymskich przedstawiali w szacie zupełnie społecznej. Przykładów takiego rozmyślnego fałszowania warunków czasu i miejsca wiele można by przytoczyć u jednego tylko Moréasa. Jest to *l'anachronisme voulu*. Inną teorię odnaleźć możemy w następującem twierdzeniu Morice'a: „ponieważ ideał artystyczny wytwarza fatalnie pewien ideał moralny, ci więc nawet, którzy zwalczają dziś nową sztukę ujrzą nazajutrz jej wpływ w ogólnej psychologii świata”. Uczono nas dotąd, że sztuka wyrasta fatalnie, jak kwiat na łące lub bagnie, na pewnem podścielisku materjalnem lub conajwyżej intelektualno-moralnem, ażeby ona jednak wywierać miała jakieś wpływy na moralność, tego, z naukowego stanowiska, nie przypuszczano. Zapomniano o tem, że każda sfera działalności ludzkiej, a sfery intelektualno-artystyczne bardziej może niż inne, prócz koniecznej zależności od innych dziedzin i stosunków, ma własny swój zakres samodzielności i oddziaływania.

Widzimy już z tej cytaty, że symboliści zakreślają sobie szerokie pole wpływów psychologicznych. Parnasyjcy nie sięgali tak daleko, ztąd mała ich poczytność i popularność wśród społeczeństwa, co niedawno skonstatawał Lemaitre. Doszło do tego, że poezję ujęto w strofy wierszowane, uważano za formę przeżyta, za objaw szczytkowy, który przędzie niebawem do składów starożytności, gdy oto zdaje się ona odradzać na nowo w symbolizmie. Adeptci tego kierunku cenią nade wszystko formę i z góry zdają się spoglądać na prozę, choć w ich szeregach są już powieściopisarze i noweliści. Miarą szerszych aspiracji symbolistów jest już ich przeciwstawienie się naturalizmowi, tymbardziej, że naturalizm nie miał właściwie swej poezji. Co najwyżej zaliczyć by można do tego kierunku Richépin'a, dzięki formie często jaskrawej i negacyjnemu kierunkowi. Kiedy naturalizm płynął szerokim korytem zamieszkałi „wpodług” poeci na swoim Parnasie uprawiali sobie w ciichości kunszt poetycki, mało się troszcząc o sprawy bieżące i prądy, które koło nich płynęły. Zaledwie Sully-Prudhomme nastroił czasami lutnię swą na ton patryjotyczny po niemieckim pogromie, lub Coppée wykroił jakiś czuły obowiązek z życia przedmiejskiego. W tym indyferentyzmie i zamiłowaniu jedynie sztuki dla sztuki parnasyjcy przypominali niejednokrotnie naturalistów. Parnas nie miał zresztą nigdy daleko sięgających ambicji. Szkoła ta nie była nawet reakcją przeciwko romantyzmowi, strony tej nigdy nie akcentowała. Był to właściwie strumyk romantyczny, który po przejściu burz i ulew wiosennych płynął sobie zwięzonym korytem.

Każda doktryna literacka, jak słusznie zauważył Morice, musi mieć swój podkład filozoficzny. Jakaż mianowicie filozofia leży u podstaw symbolizmu?

Zapoznani bliżej z rozwojem myśli francuskiej w ostatnich kilku latach łatwo dostrzeżę, że symbolizm nie jest zjawiskiem odosobnionym, lecz częścią daleko szerszego prądu, który wzbiera na różnych polach pracy duchowej. Jeżeli symbolizm jest reakcją przeciwko naturalizmowi, to szerszy ten prąd nazwać by można reakcją przeciwko pozytywizmowi i zbyt pośpiesznemu stosowaniu do zjawisk psychiczno-socjologicznych—empirycznych danych, zacierpniętych z nauk fizy-

cznych i biologicznych. Na polu filozofii widzimy usiłowania do rozszerzenia granic poznania, zakreślonych przez pozytywizm, i robienia wycieczek na pole metafiki „opartej na empiryzmie”. Na polu psychologii, spotykamy się z dążeniem, usiłującym podnieść samodzielność jednostki psychicznej i wskazać na wybitną rolę, jaką w życiu ludzkim odgrywają lub odgrywać mogą takie „siły” duchowe, jak idea i wola. Kierunek ten podnosi w życiu społecznym znaczenie inicjatywy jednostkowej i świadomości zbiorowej. Fouillée, Guyau, Tarde... są przedstawicielami tego zwrotu. Żywe zajęcie się we Francji zjawiskami hipnotycznymi zwróciło powszechną uwagę na fakt, do jakiego natężenia dojść może siła woli ludzkiej. Uderzyło to w czasie kiedy wole tę zanegowano prawie zupełnie. Hipnotyzm stał się przytem jakby wyłomem w chińskim murze nauki, przez który żądni poznania i ciekawości rzucili się dla zgłębienia arkanów „wiedzy tajemniczej”, liczącej dziś nad Sekwaną tysiące adeptów i mnóstwo szkół najrozmaitszych. Jakikolwiek może być naukowe znaczenie tego prądu, społecznie ma on tę doniosłość, że płynie w stronę przeciwną dotychczasowej nauce pozytywnej, lub też przelewa się po za jej brzegi. Na wyjąłowanej przytem niwie pozytywistyczno-naturalistycznej zrodził się w tejże Francji nastrój mistyczny, który na skrzydłach śmiałych hipotez i pragnień gorących unosi swych zwolenników w sfery dalekie od otaczającej rzeczywistości, w sfery marzeń, mglistych majaczeń niedościgłych, ideału... W muzyce rośnie wciąż zamiłowanie ku Wagneryzmowi (mimo niemieckiego jego pochodzenia), szybującemu po niezmiernych falach Oceanu harmonii. W malarstwie, w tonie impresjonizmu, który ma jeszcze pewne powinowactwo z naturalizmem, Puvis de Chavannes, mistrz uznany (patrz, między innymi, freski w Panteonie), stworzył kierunek, który możnaby nazwać malarskim symbolizmem. W oddaleniu, w perspektywie, ma się wielkie złudzenie prawdy, obrazy jednak tego mistrza, rozpatrywane z bliska nie mają ani poprawnego rysunku, ani plastyki, ani kolorytu, słowem wszystkich tych zalet, które podziwiamy z bliska, które jednak giną w pewnym oddaleniu. W podobnym kierunku malują: Redon, Degas, Carrière, Gauguin.

Nie po raz pierwszy wreszcie w symbolizmie spotykamy się z reakcją przeciwko „usystematyzowanemu ciężkim majaczeniom niemieckim”, reakcją podjętą w imię nowszych poglądów naukowych i w duchu tradycji francuzkich. W podobny zupełnie sposób „niezawisli” socjaliści francuzcy występują od pewnego już czasu w „Revue socialiste” Malona przeciwko zmonopolizowaniu „naukowego socyjalizmu” przez marksistów. Widzimy, że zwrot we Francji odbywa się na całej linii. Porzuciwszy już poglądy konającego wieku bierze się na kowadło i przekuwa się na nowe narzędzia, jedynie odpowiednie do pracy w nowym stuleciu. Prąd, wzbierający obecnie nad Sekwaną, jest niewątpliwie szerokim prądem idealistycznym, którego wzdęte fale rozleją się po całym świecie, jak to było już z innymi ruchami we Francji, i który wyciągnie nas wreszcie z zakaźnika i niemocy, w jaką pograżyły ludzką społeczność różne historyjograficzne materyjalizmy, determinizmy, darwinizmy i tym podobne naukowe produkty drugiej połowy XIX wieku. Miały one także swoją młodość, bo cóż jej niema, dziś jednak spróchniały i służą one jedynie za mierzwę dla przyszłego stulecia. Rozpoczyna się on pod innymi hasłami, które wleją nowe życie i siły w przygotowane już formy nowych przeobrażeń.

Jeszcze jedna uwaga. Wszystko co powiedziałem o symbolizmie, o kierunkach pokrewnych odnosi się przedewszystkiem do Francji, każdy bowiem naród ma własne i właściwe sobie drogi rozwoju, lubo wielkie prądy przenikają wcześniej lub później wszystkie społeczne organizmy. Kiedy niedawno w groń symbolistów francuzkich odezwał się, że Niemcy teraz dopiero zaczynają „robić naturalizm” pierwszy Charles Morice zawołał zdziwiony: *pas possible!* Francuzi są w tem szczęśliwym położeniu, że zrzadka tylko dowiadują się o tem, co się dzieje po za ich krajem, i wyjątkowo zapoznają się z jakimś obcym językiem, snując z własnego wątku lub z własnych

tradycyji materyjał do coraz nowych ewolucyji, które nie pozostają bez wpływu na obcych. Być może, iż Niemcy, którzy upojeni zwycięstwami 1870—71 r. spoczywali długo na laurach, potrzebują przeżyć ospe naturalizmu. Sami symboliści uważają naturalizm w swoim czasie we Francji za konieczny. Kierunek ich w swej głównej treści jest właśnie reakcją przeciwko naturalizmowi, bez którego byłby równie niemożliwy, jak niemożliwym był naturalizm bez romantyzmu... Co do nas, którzy od przeszło ćwierć wieku uprawiamy kierunek krytyczno-pozytywno-naturalistyczny, wydaje mi się, żeśmy już dostatecznie w tym sosie dojrżeli.

Edw. Przewoński.

## Z niwy literackiej swojej i obcej.

Równocześnie czytałem dwa utwory, mające wartość pamiętnikową, odnoszącą się do sfery *high-life'u* naszego. P. Dębicki opowiedział „Jak się bawiono w Sieniawce”; Franciszek Kostrzewski w „Pamiętniku” malował wspomnienia, wysnute z jego kariery artystycznej. Utwory te odnoszą się do momentów, rozdzielonych przeciągiem czasu, wynoszącym pół wieku blisko. Jeden tyczy się wysokich sfer towarzyskich wyłącznie, drugi przeważnie. Mimo różnicy czasu przedstawiają się one jednakowo — jednakowo we względzie zadania ku którego rozwiązaniu podążały sfery rzeźbione. Jakież to było zadanie? Zabawa. Przedewszystkiem i nadewszystko zabawa. W zabawie przebijają się w roli pomocniczej nauki, literatura i sztuki piękne o tyle jednak, o ile jej usługi oddawać mogą. Pamiętnikarz, wedle którego hr. L. Dębicki kreśli cuda sieniawskie, zdaje między innymi sprawę z imienin starego księcia. Przystosowano dla solenizanta niespodziankę, urządzoną w ten sposób, żeby mu dać zakosztować rozkoszy monarszych. Na ten koniec przygotowano salę tronową, i tron, i audyjencję solenną, udzielaną niby poselstwom, przybywającym z dalekich krajów, z Indyj, Etyjpii i t. p. Poprzebierani za ambasadorów egzotycznych szlachcice przeciągali gromadkami i siedzącymi na tronie amfityjonowi prawili oracyje, opowiadając, jako sława jego rozumu i cnót doszła do krajów najodleglejszych na kuli ziemskiej. Opowiadaniom towarzyszyły upominki stosowne. Po reprezentacyi tej nastąpił bal wspaniały — jeden w szeregu balów, dawanych w Sieniawce i w okolicy. Na balach tych przepych i zbytek znamionowały smak wykształcony, posługujący się wynalazkami naukowymi i produkcjami artystycznymi. Czytając o tem, widzi się naocznie niemal ów czynnik podniecający, który w części znacznej przyczyniał się do rozwoju nauk i sztuki a zarazem do demoralizowania klas społecznych, trudniących się dostarczycielstwem zabaw. Ową magnat, który „przez imaginację wlał na koronację”, cóż to za wspaniały typ dziejowy! Wspaniały on pod względem malowniczości, ale za to — jakż się smutny! Powiada, że nie w naturze nie istnieje bez racji. Jeżeli się cofniemy myślą wstecz, to racya istnienia typów podobnych wytłómaczy się z łatwością. Służyły one do wywoływania w umysłach ruchu w kierunku piękna, wytwarzając potrzeby, których zaspakajanie przynosiło zyski i sławę. Bez potrzeb tych nie byłoby się doskonaliły ani muzyka, ani malarstwo, ani budownictwo, ani literatura, ani nawet nauki, którym mecenasowali tego rodzaju próżni próżniacy, jakim był pan Sieniawy — jakim byli na długo przed nim protektorowie Seneków, Virgiliuszów, Tytusów-Liwiuszów itd. Jedni protegowali i próżnowali, drudzy fagawsowali i pracowali. Wynikło to z porządku rzeczy, jaki się ułożył na podstawie ustroju społecznego. Nie mniej przeto wynik ów posiada strony grubo ujemne i w tej formie, w jakiej on w zabawach sieniawskich występuje, nie zasługuje z naszej strony na admiracyję. Gdy się o tych wyszukanie zbytkowych zabawach czyta, zdaje się, jakoby w postaciach biorących w nich udział mężów i dam, oglądało się cmy barwne, lejące tłumnie w płomień.

Widzenie to wyraźniej się jeszcze uwydatnia w „Pamiętniku” Franciszka Kostrzew-

skiego. Autor powodzenie swoje artystyczne zawdzięcza tak zwanym „wyższym” sferom towarzyskim. Protegowali go one dla tego, że im „basował”. Przyznaje się do tego otwarcie i naiwnie. Otwartość, w połączeniu z ilustracyjami, zdobiacami książeczkę, stanowi największą „Pamiętnika” zaletę. Otwiera ona widoczki na wyższe sfery, ukazując je w podążaniu ku temu samemu celowi, który przyświecał panom sieniawskim. Zabawa — oto główne życia zadanie. Wzmianki takie, jak o piątkowych tańcach hotentockich, o balach w Rydzynie, o spędzaniu czasu w Lubostroniu, o różnych innych balach, naprzykład o tym, dla którego do ozdoby „przy wejściu, na każdym schodzie stało po dwóch lokai w nowitkiej *ad hoc* libery, w aksamitnych amarantowych spodniach, białych pończochach, szafirowych frakach złotem szamerowanych i białych perukach” — wzmianki takie tłumaczą łatwość, z jaką komisya kolonizacyjna nabywa majątki dla osiedlania na nich Niemców. Jest to pędzenie do ruiny na złamanie karku. Czytając o tem, doznaje się rodzaju upokorzenia i pogńębienia i swobodniej nieco się oddycha, gdy autor, zaznaczywszy bal kostiumowy u hrabiny Raczyńskiej, powiada: „Były to ostatnie podrygi świetności i weselości, której dziś od lat kilku ani śladu”.

Wszystko to już prawie pomarło... *Requiescat in pace*. Nie szkoda ich, nie szkoda tych bibek kawalerskich, ani nawet tego, że „dziś takich piękności, jakie były dawniej, niema ani jednej”. Wszakże autor zaznaczył i kilka postaci dodatnich, np.: stary książę Roman Sanguszko, mianowicie zaś drwał pewien. „Wyglądając raz oknem, spostrzegłem na podwórzu drwali, rąbiących drzewo — opowiada p. F. K. Jeden z nich, z widocznie żołnierską twarzą (a w owe czasy dużo się takich spotykało), bardzo mi się spoufał. Schodzę więc na podwórze i następuje rozmowa: — Ile też, mój przyjacielu, zarabiasz dziennie? — Phi! czasem cztery złote, czasem pięć... różnie, panie. — Słuchajcie: dostaniecie rubla i nie robcie, nie będziecie, tylko posiedziecie mi parę godzin, nie ruszając się. — E! proszę pana, nie chcę. — Dla czego? — Bó to musi być coś złego, żeby nie nie robiąc, rubla zarobić. Nie mogłem mu wytłómaczyć, że ma mi służyć za model”. Ten drwał nie jest — że stokroć więcej wart od wszystkich razem Guciów, Stasiów, Bobów i i innych przedstawicieli tych sfer? Autorowi „Pamiętnika” dobra należy się nota za to, że o nim nie zapomniał.

„Pamiętnik”. Mam do pomówienia jeszcze o jednym pamiętniku. Ten atoli odnosi się do XVII wieku i skreślony jest przez mieszczanina z Zamościa, nazwiskiem Jana Golliusza. Nie wiadomo, jakie losy zanosły pamiętnik ów do Londynu, do British Muzeum, gdzie go dr. Józef Kallenbach, obecnie profesor literatur słowiańskich w uniwersytecie fryburskim, wyszukał i wydał osobno. W stosunku do wcale licznych pamiętników szlacheckich polskich z XVII w. — słowa sz. wydawcy — „mają wspomnienia mieszczanina zamojskiego znacznie odrębne: mówią nam szczerze i po prostu o doli mieszczańskiej polskiej, o cichem życiu mieszczan polskich, o ich skromnych zabiegach, wytrwałej praay, statecznym dążeniu do oświaty i ogłady”. Autor pamiętnika był w świecie; w Lipsku do uniwersytetu chodził i z pobytu tam swego spisał szczegóły ciekawe o wykładach i życiu studenckim. Pamiętnik obejmuje czas od roku 1650 do 1653. Zaczyna się w Zamościu i kończy w Zamościu, zdając sprawę z pobytu w Lipsku i we Lwowie. W dodatku sz. wydawca zamieścił: „Fragment dramatu bez tytułu niewiadomego autora”, wiersze Golliusza i parę ciekawych dokumentów. Wszystko ma niemałe, jako materyjał do historyi cywilizacyi, znaczenie.

Wraz z Pamiętnikiem „Jana Golliusza znalazłem się w posiadaniu dwóch studyjów sz. doktora, odnoszących się do „Dziadów” Mickiewicza: jedno nieco dawniejsze (z 1888), p. t. „Czwarta część Dziadów”, drugie świeże (r. 1890) p. t. „Improwizacyja Konrada”. Jedno i drugie jest odpowiedzia na pytanie: zkad Mickiewicz zaczerpnął natchnienie do stworzenia tych arcydzieł? Najprostszą na zapytanie to odpowiedź brzmić by powinna: „W nastroju momentu dziejowego”. Był to nastrój ogólny, który urobiła cała przeszłość i który spowodował natężenie umysłów w kierunku

odnowy w zakresie naukowym i literackim. Że w kierunku tym poszła literatura nasza— inaczej być nie mogło, i rzeczą jest całkiem naturalną, że się w niej odezwały akcenty, które zwróciły na siebie uwagę w literaturach zagranicznych. Byłoby dziwnem, gdyby być miało inaczej. W pracach wszelkiego rodzaju jakieś reguły, jakieś wzory przewodniczyć muszą; na regułach i wzorach kształcą się pracownicy i odtwarzają takowe wedle materyjałów, jakimi rozporządzają. Z pierwszych wynikają podobieństwa ogólne, z drugich różnice.

Reguł i wzorów nierzadko wysledzić ani wykazać nie sposób. Najwyraźniej widzieć się to daje na wytworach ludowych, ujętych w formę podań i legend, których osnowa powtarza się jednakowo w miejscach oddalonych, w czasach, gdy narody żyły oddzielnie, bez najmniejszej jedne z drugimi styczności. Zkąd się ta jednakowość wzięła? Nie zkąd—inad chyba, jeno z jednakowości, tkwiącej w mózgu ludzkim, w którego jednakowo ułożonych komórkach wyległy się idee takie same lub wielce w gruncie podobne, nad Gangiesem, nad Niemnem, nad Gwadalkwiwirem, nad Ohio, nad Kongo. W mózgu znajdowały się reguły i wzory, i z nich w każdej miejscowości, odpowiednio do materyjałów rozporządzalnych, równoległe do budownictwa, odzieży, narzędzi do rozlicznego użytku służących, nut, powstały twory całkiem oryginalne, wchodzące do pierwotnych okresów literatur narodowych.

Powtarzało się to i powtarza od czasów najdawniejszych po dzień dzisiejszy, dzięki jednakowej wszędzie i zawsze działalności komórek mózgowych. W czasach późniejszych, kiedy się ustaliły i uregulowały stosunki międzynarodowe, nastąpiła wymiana wszelakiego rodzaju a zatem i literacka, która sprowadziła przybieranie kierunków spólnych. Gdy przeto dla literatury wogóle zaświtała epoka, zwana romantyczną, zaświtała ona i dla naszej. Zwrot ku niej zaznaczył szwajcar, luboć, poszukawszy dobrze, zapowiedź jej odszukaćby się dała we Włoszech, w Hiszpanii, w Anglii. Bądź co bądź—zawitała, nadeszła, zapanowała, wkroczyła drogą wymiany do nas i natrafiła pośród nas na poetę genialnego, w którego utworach słyszeć się dały te same dźwięki, co w utworach poetów zagranicznych. Sprawili to nastroj ogólny, nie zaś wpływ autorów poszczególnych, których Mickiewicz czytał. „Nowa Heloiza”, „Werter”, „Waleryja” mogły co najwięcej zachęcić autora „Dziadów” do napisania „IV części”; lecz wpływ ich od tego się zaczynał i na tem kończył, osnuwszy bowiem utwór swój około oszalałego z miłości młodzieńca, musiał cierpienia jego malować, jak się cierpienia tego rodzaju wyrażają w ogóle. Ludzie wszyscy jednakowo kochają,—od temperamentu indywidualnego zależy większe lub mniejsze napięcie uczucia. Temperamenty gorętsze wydają Werterów, Gustawów, których liczba zrachować się nie da, i wypowiadają się tak, jak Abelard i Heloiza w listach, pisanych na siedm wieków przed przyjściem na świat J. J. Rousseau. To stara historia, notowana w osobnej rubryce w statystyce i znana medycynie. Młodzież polska, w Szwajcaryi przebywająca, wydała w przeciągu ostatnich dwóch lat trzech Werterów. W Genewie, lat temu parę, mleczarka pewna i furman odebrali sobie życie z miłości. Cierpienia, jakie tego specyjalnego rodzaju zamach samobójczy poprzedziły, wytłómaczyli poeci poetycznie i filozoficznie; że zaś cierpienia te są jednakowe, więc tłómacze, opowiadając takowe, różnić się mogli jedynie sposobem opowiadania, odpowiednim środowisku, do jakiego należeli i przez które wyraża się geniusz narodowy. Wyobrazić sobie nie sposób, ażeby Gustaw Mickiewicza „IV części” kochać się był w stanie inaczej, jak wszyscy na świecie gorącego temperamentu kochankowie—czy to studenci, czy furmani.

Do uwag powyższych doprowadziło mnie studjum porównawcze sz. profesora o Gustawie z „Dziadów”. Miejsca mi brak na szczegółowe (na jakie zasługuje) zdanie sprawy ze studjum o Konradzie. Muszę więc na kilku poprząstach słowach. „Improwizacja” w twórczości poetyckiej Mickiewicza bardzo ważną odgrywa rolę. Zdaniem mojem wywiązała się ona bezpośrednio z „Ody do młodości”. Ta ostatnia, wybuch młodzieńczy, znamionuje bez-

warunkową ufnosć w potęgę młodego ramienia. Z upływem lat ufnosć osłabła i twórca „Ody”, nie zrzekając się ideałów swoich, zwrócił się, w postaci Konrada, do Boga, szukając w nim sprzymierzeńca. Mistycyzm cechuje utwór jeden („Wyjście z zamętu świat ducha”) i drugi—idea jedna i taż sama czyni z „Improwizacji” uzupełnienie „Ody”. Pomiędzy dwoma tymi utworami zachodzi ściśle a widoczne pokrewieństwo myśli i natchnienia, stanowiące oś twórczą, około której obracają się „Dziady”.

T. T. Jeż.

## GŁOSY.

Ekspedycje do Brazylii. — *Kraj* o „przeobrażeniu społecznem”. — Głosy pp. Keppego, Hiszpańskiego i Chrzanowskiego w sprawie nadużyć w Muzeum. — Skrupuły Towarzystwa „zachęty” sztuk pięknych. — P. M. Poznański rozgniewał się!

— W tych dniach wybrani delegaci: p. Glinka, radca Tow. kred. ziem., i ks. Z. Chełmicki—wyjechali już do Brazylii. Ks. Z. Chełmicki zatrzyma się tam zapewne dłużej, ażeby dokładniej poznać położenie wychodźców, zarówno nowych osadników, jak i dawniejszych kolonistów w okolicach Kurityby. Wybór p. Glinki nie wydaje się nam stosownym, jest to bowiem człowiek stały, niełatwo więc mu będzie znosić różne dolegliwości podróży. Natomiast ks. Chełmicki, stały współpracownik *Słowa*, jako publicysta z zawodu, jest do zadania swego odpowiednio przygotowanym i, jeżeli czas i środki pozwolą mu dłużej zabawić w Brazylii, może istotnie zebrać ciekawe dane. Korrespondencje jego drukować będzie *Słowo*.

„Dzienniki galicyjskie donoszą znowu, że w początkach maja b. r. wyruszy dr. Józef Siemiradzki, docent uniwersytetu lwowskiego, na czele ekspedycji naukowej do południowej Brazylii i Argentyny. Jednym z głównych zadań tej ekspedycji jest pomiędzy innemi zbadanie, o ile możności dokładne, stanu emigracji polskiej, oraz warunków ekonomicznych, klimatycznych i społecznych, w których się wychodźcy nasi znajdują. Wiadomość, podana przez dzienniki o udziale w wyprawie zamierzonej pp. Stanisława Szczepanowskiego i prof. d-ra St. Kłobukowskiego, jest błędna: pierwszy z nich nie miał nigdy zamiaru wyjeżdżać i przyczynił się tylko moralnie do organizacji wyprawy; drugi natomiast pierwotnie zamierzony swój udział cofnął dla ważnych bardzo powodów. Wyprawa przychodzi do skutku na koszt własny jej uczestników, którymi są oprócz d-ra Józefa Siemiradzkiego, pp. Antoni Hempel, obywatel z Płockiego, Mieczysław Korwin, obywatel z Sanockiego, i Konstanty Siemiradzki. Celem uniknięcia trudności, jakie podobno robiono Dygasińskiemu, postarano się o urzędowe legitymacje i listy polecające do władz brazylijskich i towarzystwa katolickiego opieki nad wychodźcami imienia św. Rafała, posiadającego agentów w Rio Grande do Sul i w Buenos Ayres, jak również do przedstawicieli świata naukowego w Rio Janeiro, S-to Paulo i Montevideo. Można mieć przeto niepłonną nadzieję, że członkowie ekspedycji zbiorą obfity materyjał rzeczowy dla komisji, wybranej przez zjazd ekonomistów, celem zbadania kwestyi emigracyjnej u nas.

\* \* \*

— W ostatnim numerze *Kraju* czytamy:

Na innym miejscu znajdują czytelnicy kilka wyjątków z najważniejszych organów prasy ruskiej, która uczciła dziesięcioletni jubileusz wstąpienia na tron Najjaśniejszego Pana, obok naturalnego wyrazu uczuć wiernopoddańczych, szeregiem artykułów, nie pozbawionych zasadniczej treści i głębszej myśli politycznej. I w rzeczy samej, ostatnie dziesięciolecie w historii wewnętrznej państwa ruskiego posiadać będzie zawsze niepospolitą doniosłość, jako epoka zupełnego przewrotu wyobrażeń społecznych i zwycięstwa idei konserwatywnych, tak w czynach, jak w zasadach i programach. Przeobrażenie się to było rezultatem nie tylko inicjatywy i wpływu sfer rządzących, ale także i niewątpliwie wynikiem samoistnej roboty samego społeczeństwa, tak na gruncie samorządu prowincjonalnego, jako też w dziedzinie publicystycznej. Sądy historyczne są zmienne, niezależnie wszakże od wszelkich możliwych orzeczeń i kwalifikacji ostatniego dziesięciolecia, ów pierwiastek społecznego współudziału usiłowaniami rządowym zaprzeczyc się nigdy nie da. Społeczeństwo zaś nasze, tak dziś jak i przed

10 laty, dąży wytrwale w kierunku wewnętrznej, spokojnej pracy, w granicach dozwolonych i najściślej legalnych, przyjętej już nie tylko jako „force majeure”, ale nadto wciągniętej, w dobrze zrozumianym interesie własnym, do szeregu artykułów naszej politycznej wiary. Ubolewać godzi się, że wiarę tę wyrobiła w nas twarda rzeczywistość, a nie intuicja własna, żeśmy nie przejrżeli przed laty 30; ale takie reminiscencje nie dowodzą bynajmniej jej obecnej niewczesności, a 10 lat ubiegłych świadczy o wzroście dojrzałości politycznej wśród naszego społeczeństwa.

\* \* \*

— (p.) Sprawa nadużyć, popełnionych przez p. Kossowskiego pod firmą Muzeum przemysłu i rolnictwa, wkrótce zapewne będzie należycie wyjaśniona. W *Kuryerze porannym* znajdujemy znowu list p. Keppego, redaktora *Gazety rzemieślniczej*:

„We wczorajszym numerze *Kuryera porannego* p. G. Waliszewski, polemizując w sprawie muzeum przemysłu i rolnictwa, rzuca między innymi insynuację, jakoby ktoś, w celu zajęcia posady, agitował na niekorzyść jednego z urzędników tegoż muzeum.

Ponieważ jednocześnie z listu p. W., pisanego do osoby trzeciej, dowiaduję się, iż tenże ośmiela się twierdzić, że owym ktosiem mam być ja, niżej podpisany, przeto dla wyświeślenia niedorzeczności p. Waliszewskiego, któremi usiłuje rzecz całą zaciemnić, jak również dla wytrącenia broni tym, którzy go w tym kierunku pehają, uważam za konieczne oświadczyć:

1) Nigdy nie ubiegałem się i nie miałem najmniejszego zamiaru ubiegania się o jakąkolwiek posadę w muzeum przemysłu i rolnictwa—i że

2) p. Waliszewski wiedział o tem i wie bardzo dobrze, na co posiadam dowody.

Z tego właśnie względu insynuację jego nazwać muszę niegodną, pełną złej wiary i w najwyższym stopniu niesumienną, i niniejszem z całą siłą ją odpieram.

Nadmieniam przytem, iż udział mój w sprawach muzeum przemysłu i rolnictwa, nie mający wszakże nic wspólnego z ubieganiem się o jakąkolwiek posadę—w sprawach obchodzących dziś cały ogół, zwłaszcza rzemieślników naszych—opiszę szczegółowo w najbliższym numerze *Gazety rzemieślniczej*, której jestem kierownikiem”.

P. P. Hiszpański i Chrzanowski oświadczają znowu, że „sprawa, dotycząca warszawskiego muzeum przemysłu i rolnictwa i tych niewyraźnych rzeczy, jakie tam się dzieją, traktowaną i wyjaśnioną będzie w dalszym ciągu w tem piśmie, gdzieśmy ją pierwsi podnieśli.

Napróżno też p. Waliszewski objaśniony przez p. prezesa i sekretarza p. Kossowskiego usiłuje sprawę tę sprowadzić na grunt jakiejś prywaty, rzecz ta bowiem obchodzi jak najżywiej cały ogół rzemieślników oraz przemysłowców naszych i jako taka, nie przez prywatne „objaśnienie”, ale publicznie wyjaśnioną być musi.

Bolesnem jest tylko, że p. Waliszewski daje się używać za narzędzie czyichś widoków prywatnych”.

Niewątpliwie otrzymamy cały szereg ciekawych wyjaśnień, a kiedy to nastąpi, dodamy jeszcze komentarz od siebie, bardziej szczegółowy.

\* \* \*

— (p.) W ubiegłą sobotę odbyło się roczne zebranie członków Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Wytrwały opozycjonista, p. Maciejowski, dowodził, że bilans funduszu ułożono nieprawidłowo. Następnie p. Paprocki postawił wniosek, ażeby w wykazach o kupnie obrazów i rzeźb do wylosowania zamieszczono szczegółową cenę każdego utworu nie zaś ogólną cyfrę sumy, wydanej na zakup. Członkowie komitetu, pp. Wrotnowski i Gerson, sprzeciwili się temu. Pierwszy twierdził, że nie zgodzą się na to artyści, bo „zmuszeni” nieraz sprzedać utwór za połowę jego wartości, nie chcą, żeby wiedziela o tem publiczność. Dlaczego jednak tylko warszawscy artyści mają być tak drażliwi, bo wszystkie towarzystwa zagraniczne, jak również towarzystwo krakowskie, ogłaszają szczegółowe ceny. Zresztą niemożna przecie przypuszczać, żeby Towarzystwo zachęty sztuk pięknych, mające na celu, obok innych zadań, popieranie artystów, korzystało z przykrego położenia ludzi „zmu-

szonych" sprzedawać swoje utwory „za połówę rzeczywistej wartości”. Dotychczas sądziliśmy, że Towarzystwo, które nie jest jakimś *kunst-handlem*, ale instytucją publiczną, płaci artystom za ich prace według cen normalnych. Nieoględna argumentacja p. Wrotnowskiego może nasunąć każdemu podejrzenie, że tak nie jest, że w pewnych wypadkach „zachęta” graniczy z wyzyskiem.

Argument prof. Gersona, który, robiąc aluzję do wnioskodawcy, dowodził, iż żaden kupiec nie głosi publicznie, ile na towarze zarabia, jest i naiwnym i niewłaściwym. Kupiec prowadzi handel za *swoje* lub na własną odpowiedzialność pożyczone pieniądze, Towarzystwo zaś gospodaruje funduszem publicznym, funduszem członków. Wydawanie takich funduszy odbywać się powinno pod ścisłą, publiczną kontrolą. Członkowie towarzystwa wybierają komitet, dają mu dowód zaufania, komitet ze swej strony powinien wykazać, że jest tego zaufania godnym. Nikt nie posądza członków komitetu o trwonienie funduszy, ale nie jeden chciałby się przekonać, czy właściwie oceniają oni zakupione utwory. Przecie dowód zaufania nie jest jeszcze patentem na nieomyślność. Faktem jest, że artyści nieraz się skarżą na niewłaściwe ocenianie wartości ich prac, należałoby więc wyjaśnić, czy skargi te mają jakąś podstawę, czy też są tylko wyrazem obrażonej miłości własnej.

\* \* \*

— (o) Przed dwoma tygodniami zamieściliśmy w *Głosie* korespondencyję z Łodzi, opisującą zabiegi p. Maksymiliana Poznańskiego, syna znanego fabrykanta, w celu pozyskania godności prezesa w miejscowym stowarzyszeniu subjektów handlowych. Podobnej treści korespondencyję wydrukował *Przegląd tygodniowy*. Obecnie p. M. Poznański ogłosił w *Kuryerze warszawskim* (w dziale płatnych reklam) list, w którym z czelnością kantorowicza i dumą milionera oświadcza: „wartość moralną tych oszczerczych wystąpień dostatecznie charakteryzuje ten fakt, iż żaden z korespondentów nie miał odwagi podpisać się pod wymierzonym przeciwno mnie paszkwilem”.

Młody sukcesor milionowej firmy udaje naiwnego, bo rozumie bardzo dobrze, iż nikt z subjektów handlowych podpisać się nie może, gdyż natychmiast „na żądanie” p. Izraela Poznańskiego lub jego syna otrzymałby dymisję. Ale za wiarogodność korespondentów odpowiadają redakcje, które wiedzą, od kogo otrzymują wiadomości. Zresztą nie potrzeba nawet szczególnych dowodów, wykazujących, że p. Poznański agitował w sposób nieuczciwy, bo nieuczciwym jest, kiedy milioner, korzystając ze swego stanowiska społecznego, wywiera pośrednio nacisk na biedaków, chociażby nie dla zysku, ale tylko dla zadowolenia swego kaprysu lub marnej ambicji.

## Z OBCEGO ŚWIATA.

Młodzież francuzka z r. 1890. — Jak się zapatruje ona na swych poprzedników z r. 1870 i z r. 1880 i jak rozumie samą siebie. — Co mówią o niej Lavisse i Vaugué.

W naszych wyspecjalizowanych społeczeństwach funkcja myślenia, badania zjawisk, tworzenia idei i kierowania sprawami społecznymi przypada t. zw. inteligencji. Jak często nie odpowiada ona swemu zadaniu, jak często nie rozumie ona potrzeb społecznych, jak często wypadki zaskakują ją niespodziewanie, jak wreszcie rzadko poczuwa się ona do obowiązków względem społeczeństwa, które wielkim kosztem i móżolem dało jej najwyższe dobro — wiedzę, nie potrzebujemy niestety mówić, są to rzeczy zbyt znane. Bez wątpienia wszakże ta nieodpowiedniość inteligencji jest jedną z ważnych dolegliwości społecznych i pytanie, jaką wartość posiadać będzie przyszłe pokolenie inteligencji, które zalega dziś jeszcze ławy szkolne, ale jutro wejdzie w życie, ma wielkie dla społeczeństwa znaczenie. Ludzie, znajdujący się dziś w sile wieku, ludzie, którzy wpływają już na bieg spraw społecznych i za lat kilka zastąpią już w zupełności schodzące coraz bardziej z pola pokolenie starsze,

spoglądają ciekawie na swych następców. O czym myślą i czego pragną ci „młodzi”, z czym wejdą w życie, jaka będzie ich robota, czy podejmą dalej naszą pracę, będą ją ulepszać i rozwijać, czy też pójdą inną jakąś drogą, nieznaną nam i niesympatyczną — oto pytanie, żywo obchodzące każdego z „młodych”. Ze swej strony „młodzi” przyglądają się pokoleniom, biorącym czynny udział w życiu, krytykują ich działalność, ich poglądy i myśli, przez tę krytykę dochodzą do uświadomienia swych własnych pojęć i uczuć, na podstawie ich tworzą plany na przyszłość, niekiedy wreszcie sami zrywają się do czynu.

Dla poznania istotnych właściwości młodzieży, bardzo ważnym jest wysłuchać głosów zarówno jej samej, jak i jej obserwatorów. Jesteśmy w tem szczęśliwym położeniu względem młodzieży francuzkiej. Zwróćmy przedewszystkiem uwagę na przedstawiciela młodzieży, studenta Berangera. W roku zeszłym wygłosił on w paryżkim stowarzyszeniu studenckim, o którym pisaliśmy już na tem miejscu przed kilku miesiącami, odczyt p. t. *Młodzież inteligentna i współczesna powieść francuzka*. Liczne grono słuchaczy przyjęło odczyt z zapałem, ztąd wnosić możemy, iż myśli głoszone przez Berangera są wyrazem jeżeli nie całej, to przynajmniej znacznej grupy młodzieży.

Mówca zaczął od zaznaczenia faktu, że młodzież dzisiejsza, młodzież z r. 1890 naprożno szuka w powieści klucza do rozwiązania zagadki własnej swej duszy. Pokolenie dzisiejsze nie doczekało się jeszcze artystycznego odtworzenia w utworach sztuki. Powieść francuzka, która wogóle mało zajmuje się inteligencyją, przedstawiła dotąd li tylko typy młodzieży z r. 1870 i 1880, młodzieży, różniącej się znacznie od dzisiejszej.

Młodzież z przed 20 laty wychowała się i wyrosła w atmosferze drugiego cesarstwa. Czem była ta epoka we Francji? Epoką rozpasaną się mieszczaństwa. Ideaty, które przyświecały niegdyś tej klasie, wybladły zupełnie, odrzuca je ona zresztą całkowicie, gdy przekonywa się w r. 1848, że na widownię dziejową występuje nowy czynnik społeczny. Jakby w przecuciu niedługiego życia, chce go ona użyć jaknajweselej, najhańsliwiej, najczyniczniej. Awanturnicy i spekulanci, wynajdujący sposoby łatwego i prędkiego wzbogacenia się, zastępują groszorbów, dochodzących do bogactwa zwykłą drogą wyzyskiwania pracy. Miljonowe fortuny tworzą się w jednej chwili i przedęj jeszcze rozsypują się w gruzy. Na czele państwa stają również awanturnicy i rzezimieszki, którzy przy dźwiękach Offenbacha pędzą wesoło naprzód, nim nie runą do przepaści pod Sedanem. Straszliwe klęski narodowe, wreszcie bratobójcza walka, zakończona masową rzezią paryżkiego ludu — oto zakończenie tej wesołej epoki. O naszkicowanych tu warunkach społecznych, w których rozwijała się młodzież ówczesna, Beranger wspominał zaledwie; zwraca on w danym razie, jak i we wszystkich innych zresztą, główną uwagę na wpływy idejowe, na filozofię, naukę i literaturę.

Zdaniem mówcy, czynniki te działały wówczas przygnębiająco na ducha młodzieży. Było to panowanie kantowskiego krytycyzmu i anglo-francuzkiego pozytywizmu. Pod ich skombinowanym działaniem runęły dawne absoluty i wraz z niemi rozwalił się cały gmach idei i wierzeń. Cnota i występki, prawda i fałsz, dobro i zło — wszystko to stało się pojęciem względnym, koniecznym i naturalnym następstwem szeregu przyczyn i skutków, zależnych od niezłomnych praw przyrody, praw, na które człowiek wpływu żadnego nie ma i mieć nie może. Tak głosił ówczesny determinizm, albo raczej tak rozumiano go wówczas. Idee te przeniknęły utwory Taine'a i Renana, wreszcie znalazły wyraz w powieści naturalistycznej Flauberta, Goncourta i Zoli.

Młodzież z roku 1870 nie znajdowała ani w życiu, ani w czynnikach idejowych pobudek do wyższych aspiracji, do czynu. Usunęła się ona od życia, w którym nie znalazła nic, co by mogła kochać i czcić, zamknęła egoistycznie w sobie, lecz nie znalazła szczęścia w tem odosobnieniu, nie przestawała się dręczyć swoją bezsilnością, swym nicnierobieniem. Wypadki r. 1870 — 1 pozostawiły w niej na całe życie piętno przygnębiaenia i smutku. Bourget, który w r. 1872 sam był jeszcze studen-

tem, jest wyrazicielem tego pokolenia w literaturze.

Pokolenie z roku 1880 rozwijało się w tych samych prawie warunkach, co pokolenie z roku 1870. Rozkładający się ustrój mieszczański i filistersko-materyjalistyczne ideje wychowały pokolenie, które tem się odróżniało od bezpośredniego poprzednika, że, jak się wyraża Beranger, mniej cierpiało, nie przechodziło tak bolesnych kolei. Pokolenie poprzednie bolało nad sobą i swą niemocą, pokolenie nowe uwielbiało samo siebie i uznało się za istoty wyższe, nie mające nic wspólnego z „barbarzyńcami”, tworzącymi resztę społeczeństwa. Ta „arystokracja ducha” czuła się wolną od wszelkich przesądów, a pod to miano podciągało takie pojęcie, jak obowiązek, przekonanie i t. d. Co to jest prawda — pyta jeden z głównych przedstawicieli tego pokolenia, literat i polityk (bulanżysta Barres; żadnej prawdy niema, są tylko różne sposoby widzenia.

„Masz tylko jedną ojczyznę — śpiewa jeden z poetów tego pokolenia, — samego siebie. Śpiewaj dla niej, bądź swym celem i upragnieniem”. W literaturze pokolenie to przedstawiali Daudet w „Walce o byt” i „Nieśmiertelnym”, oraz Bourget w postaci „Ucznia”, własnego zaś piewę ma ono we wspomnianym wyżej Barresie.

Tak się przedstawiają młodzieży z roku 1890 bezpośredni jej poprzednicy. Co myśli ona o samej sobie? Charakterystyczną cechą tego pokolenia, zdaniem Berangera, jest przebudzenie się „ducha społecznego”. „Nowe pokolenie będzie przedewszystkiem społecznym, — powiada mówca, — innemi słowy wyrazi ono w sztuce i polityce, w czynie i w myśli, swe dążenie do nowego społeczeństwa, swą wiarę w naukę i demokrację, swą miłość do ludu i ojczyzny”. Poprzednicy zdecydowali, że nauka i demokracja doszły do bankructwa. „Byłoby to prawdą, gdyby ostatecznym rezultatem nauki był pozytywizm i industrializm, gdyby demokracja doprowadziła tylko do tryumfu plutokracji. Lecz wszystko to jest tylko zjawiskiem przelotnym, złem uleczalnym. Pozytywizm już nie istnieje i nadejdzie bez wątpienia czas, gdy rozwiązana zostanie kwestya pracy przemysłowej, a z nią razem kwestya plutokracji... Nowszą ewolucyjną kierować winien duch, którego najwyższym i najczynniejszym czynnikiem jest miłość... Powstanie nowe społeczeństwo, w którym ja każdego nie będzie w antagonizmie ze zbiorowością i w którym marzenie stanie się bratem czynu”. Takiemi słowy charakteryzuje Beranger swoje pokolenie. Dążności nie skrytalizowały się tu jeszcze w żadne doktryny, w żadne określone plany, kierunek jednak myśli i uczuć zarysował się dość wyraźnie.

Jakież są przyczyny tego przewrotu? Trudno spodziewać się, żeby młodzieniec, wstępujący zaledwie w życie, mógł zanalizować wszystkie przyczyny zjawiska tak złożonego. W mowie Berangera nie znajdujemy też zadowalniającej odpowiedzi na pytanie, dlaczego ci mieszczańscy synkowie zrywają z „pessimizmem indywidualistycznym”, dlaczego dążą oni do zlania się ze zbiorowością społeczną, dlaczego zjawia się w nich chęć poświęcenia swego życia „ludowi i ojczyźnie”.

Dla przedstawiciela inteligencji najwyraźniej zarysowują się przyczyny intelektualne. Kładzie też on nacisk na zwrot w filozofii i nauce, zwrot, który charakteryzował między innym Paulhan w *Nowym mistycyzmie* (patrz *Głos* Nr. 1 z r. b.), Boutroux, Fouillée i Guyau — oto są myśliciele, którzy uwolnili młodzież od beznadziejnej filozofii. Dawny determinizm, przechodzący w fatalizm, został rozbity. Potęga myśli została uznana przez wprowadzone pojęcia „idei — siły” (*idées forces*). Człowiek nie jest już automatem, pionkiem, kierowanym przez zewnętrzne siły, którym tylko ulegać może, — stał się on znowu istotą czynną, może on oddziaływać myślą na świat, zmieniać go wedle swej chęci, przebudowywać go według swej woli i planu. W dziedzinie krytyki w podobny sposób oddziaływali Brunetiere, pogromca „naturalizmu”, Melchior de Vaugué, krytyk powieści ruskich, Sarrazin, wielbiciel Shelleya, i Hennequin. Wszyscy oni również podnosili zapoznawane dotąd znaczenie ducha ludzkiego i usiłowań jednostki.

Ocena filozoficznej wartości nowych doktryn nie może być zadaniem mojej pogadanki. Nie-



zależnie jednak od bezwzględnej, jeżeli tak powiedzieć można, wartości—każdy kierunek filozoficzny ma znaczenie ze względu na pośrednie swe skutki, ze względu na oddziaływanie na kierunek działalności ludzkiej. Materializm, jak słusznie zauważył Lange w swej *Historji*, okazywał się zawsze pożytecznym dla rozwoju badań przyrodniczych. Kierunek, natomiast, podnosząc znaczenie ducha ludzkiego, znaczenie woli jednostki, oddziaływa pobudzająco na energję człowieka, na jego zdolność do czynu. Człowiek, przejęty fatalizmem rozwoju, upatrujący przyczynę wszystkiego w działaniu warunków zewnętrznych, od woli ludzkiej niezależnych, nie zdobędzie się na okrzyk silnej wiary we własną potęgę, nie powtórzy za poetą: „Młodości, orla twych lotów potęgą, jako piorun twoje ramie!”

Jeżeli młodzież francuzka ocenia dobrze samą siebie, spodziewać się po niej możemy, że wyda ona pokolenie nie sceptycznych obserwatorów, ale ludzi czynu, którzy potrafią się połączyć z „barbarzyńcami” i wraz z nimi odrodzą Francję, zrobią z niej znowu gwiazdę nadziei całej ludzkości.

Posłuchajmy jednak tego, co mówią o tej młodzieży ludzie starsi, znający ją bliżej i mogący obserwować ją dobrze. A więc przede wszystkim co myśli o niej „bożek” młodzieży paryskiej, Ernest Lavissee, jeden z najwybitniejszych profesorów. Dzieli on młodzież obecną na trzy kategorie. Jedną z nich, najmniej liczną, rzecz można nieznacznie mniejszą, to wierzący katolicy, jawnie i zdecydowanie spełniający praktyki religijne. Druga, także religijna, dąży do wytworzenia nowej jakiejś wiary. Trzecia najliczniejsza, stanowiąca większość, szuka wyższej zasady w nauce, w polityce, w demokracji, szuka, nie wiedząc dobrze, co to za zasada, lecz głęboko wierząc, że w tej właśnie dziedzinie szukać jej należy. Charakterystyczną więc cechą dzisiejszej młodzieży, a raczej jej myślącej części—powiada Lavissee—jest tęsknota za ideałem (*nostalgie du divin*). Pierwsza grupa wzbudzałaby niepokój w Lavissee, gdyby przypuszczał on możliwość jej przewagi; możnaby obawiać się i co do reszty, żeby nie zatraciła ona swej siły w marzycielskich poszukiwaniach bezwzględności. Nie marzyć musimy, lecz działać—powiada on—i to nie jutro, lecz zaraz dzisiaj, niestety bowiem mieć zbyt ostrego słuchu, żeby słyszeć podziemne uderzenia Wezuwiusza. Lavissee nie obawia się jednak: młodzież pragnie czynu i szuka zasady przewodniej tam, gdzie znaleźć ją można.

Wielce popularnym wśród młodzieży jest również Melchior de Vauguė. Różni się on wielce od gorącego zwolennika wolnej myśli Lavissee'a, jest bowiem wierzącym katolikiem, nieco mistykiem. Zarazem jednak jest on bardzo szczerem „katolikiem społecznym”. Jego napisać na dziki indywidualizm, jego gorąca wiara w braterstwo ludzi, w moralne przerodzenie się ludzkości, w konieczność reform—pociągają młodzież i każą zapominać o innych jego właściwościach. Otóż ten właśnie Vauguė w artykule p. t. *Dwudziestoletni* wymienia trzy charakterystyczne cechy młodzieży dzisiejszej: po pierwsze, poważne i szczerze dążenie do wyższego ideału moralnego, po drugie—namiętne pragnienie działalności praktycznej, po trzecie—jasno zarysowaną dążność skierowania swej działalności na kwestyje społeczne, w celu przyczynienia się do materialnego i duchowego rozwoju demokracji.

J. H. Siemieniecki.

## Przegląd społeczny.

**Tomaszów Rawski.** (Kor. „Głosu”). Był robotnikiem, niewesoły w zwykłych warunkach, jakże okropnym staje się z chwilą, gdy do domu zawita choroba z nieodłącznym głodem i nędzą. Dopóki namuloną ręką zdobyć może grosz choć niewielki na utrzymanie rodziny, boryka się on odważnie z dółką; ale kiedy maszyna ludzka się zepsuje, kiedy potrzeba poprawki jakiejś, żeby kółka jej na nowo w ruch wprowadzić, kiedy choroba powali go na twarde łoże w złe ogrzanej izbie, wtedy drzwiami i oknami pcha się nędza. Choroba, która na razie środkami zapobiegawczymi zażegnać by się dała, wydyma się dostraszliwych roz-

miarów, a często kończy się osieroceniem licznej rodziny. Kiedy pomyślimy, jak smutnym w skutkach jest osierocenie takiego człowieka, nie mającego z żadną busolą życiową, mniej się dziwić będziemy moralnemu upadkowi ludności robotniczej, na który tak wielu piorunie kaznodziejów, a któremu tak wielu z nich zapobiega. To też jedną z krzyżujących potrzeb miasta fabrycznego jest szpital. Potrzebie tej nareszcie w mieście naszym stało się zadość. Zrozumiano w części, co się należy pracownikom, pojęto, że obowiązek pracodawcy nie kończy się z chwilą wypłaty zarobionego grosza, że warto pomyśleć, aby robotnik w razie choroby miał gdzie złożyć spokojnie głowę, a zamiast zalecanej przez baby we wszystkich wypadkach wódki z miodem, znalazł opiekę lekarza. Gmach szpitalny wybudowano już przed trzema laty, otwarty zaś został dla użytku w zeszły czwartek staraniem hr. Ostrowskiego, d-rów Rodego i Pisarszewskiego. Mieści on 20 łóżek, ambulatoryjum, salę operacyjną, pokój dla posługiwaczki, a w suterrenach kuchnię, spiżarnię, pralnię. Pomieszczenie pralni i kuchni w suterrenach wielce jest wadliwe, tembardziej, że niema wodociągu i zlewów, za to wewnętrzne urządzenie szpitala bardzo staranne, a położenie jego tuż za miastem, w otoczeniu pól i lasów—nad wyraz szczęśliwie wybrane. *Etc.*

**Lublin.** (Kor. „Głosu”). Kwestyjonyjusz, ogłoszony w *Gazecie lubelskiej* w celu zebrania materiałów do charakterystyki „obecnego stanu ekonomicznego włościan”, mógłby przynieść rzetelną korzyść, gdyby autorowie odpowiedzi nań nadsyłanych starali się przedstawiać rzecz obiektywnie. Każdy mniej-więcej oświecony szlachcic na folwarku ma swoje pojmowanie spraw społecznych, a z prawdziwą już uciechą i pozornym znawstwem rzeczy prawi o ekonomicznym byciu włościan. Podług niego, chłopci mają się dobrze, a jeżeli trafiają się wyjątki, to sami sobie są winni, bo naogół są to próżniacy i alkoholicy. Taką samą opinię, lecz z większą dozą słuszności, mogliby wydać chłopci o panach, gdyby dla udowodnienia jej trzeba było ogłaszać kwestyjonyjusz. Prawdopodobnie nie o te opinie autorom rzeczono programu chodzi, lecz o przedmiotowe zobowiązanie stanu ekonomicznego chłopów. P. W. O. np., traktując *Gazetę*, jako swój *organ*, siadł do kwestyjonyjusza, jak do nut z ludową piosenką, i wygrywa na ten temat *waryjacje*, jedynie dla pochwalenia się talentem i nawymyślenia chłopom. „Co uczynić z ludem—woła—pracy nie łaknącym, kiedy ten z przyjemnością wiele czasu traci po jarmarkach, z których niestety wraca do domu, —z ludem, nie mającym osobistego poczucia do pracy, lecz pełniącym wszystko z konieczności i rozkazu, który nie usunie nawet śniegu we wsi z drogi, jeżeli mu sołtys nie zagrozi karą! Z lenistwa i ciemnoty pochodzą też inne wady: mała ilość łąk i lasu nabiera (?) u ludu niby prawa do wyrządzenia krzywdy komu w lesie, na łące, a nawet w zasiewach przez puszczenie na paszę swego inwentarza”. „Wstręt do pracy, ciemnota i cały szereg idących za nimi wad są powodem ogólnego ubóstwa. Przeludnienia też jak często wielu dowodzi, jeszcze niema w kraju, gdy ludność w żniwa sama się nie obrabia, lecz wzywa pomocy ludności napływowej. Jeżeli niektóre miejscowości czują przeludnienie, mogą dostarczyć pracowników swoich w inne strony, jak np. na Wołyń”. Podług p. W. O. „nie bieda wypędza ludzi z domu za morze, lecz próżniactwo”, ponieważ zdaje im się, że tam bez pracy majątki zdobędą. Pomijam inne *waryjacje*, wskazuję tylko typowo szlakońskie i głównie dlatego, żeby zwrócić uwagę *Gaz. lubelskiej* na potrzebę powściągnięcia obywateli ziemskich od subiektywnych wywodów w tej sprawie i baczego oczyszczenia materjałów od tendencyjnych wskazań. U nas, na wsi, niema prawie po za dworem inteligencji, a szlachta nie może być, z pobudek klasowych, powołaną do decydowania w sprawach ekonomicznych ludu. Potrzeba więc tem większej ostrożności w zbieraniu materjałów. *Miejscowy.*

**Z gub. Siedleckiej.** (Kor. „Głosu”). W poprzednim liście skreśliłem stan materjalny robotnika wiejskiego w normalnych warunkach, t. j. tam, gdzie ma wydaną ordynaryję w dobrej ziarnie, a zarobione pieniądze wypłacone w swoim czasie. Niestety bywają dwory, w których wydaje się zboże w lichym gatunku, albo część zaledwie należnego podług umowy zboża dostaje się służącemu, brakujące zaś zmuszony jest tenże przyjąć kartofflami; w których pensyje i zarobione pieniądze służący odbiera nieregularnie i nie wszystkie, a zaległości pozostają nie tylko z kwartału na kwartał, ale z roku na rok. W takich dworach stan materjalny służącego jest naturalnie opłakany; pomimo tego, rzadko rzuca on służbę taką, bo rzucić ją—znaczy to stracić wszystkie należności, a zostać—jest to mieć nadzieję odebrania choć czegokolwiek. W takich warunkach zdarzają się czasami sceny, przywodzące na myśl Stanleja i Afrykę. Stosun-

ki takie wpływają naturalnie w najwyższym stopniu demoralizująco na ludność robotniczą. — Pojęcie o cudzej własności ma służba tutejsza, jak wogóle chłopci, odrębne. Ukraść zboże ze stodoły lub ze spichrza dla swego bydła albo dla siebie do zjedzenia, narwać trawy, koniczyny, liści buraczanych na dworskim gruncie, owoców w dworskim ogrodzie, chociażby w połączeniu z połamaniem gałęzi i zniszczeniem drzew, nie jest grzechem; przestępstwem prawdziwym dopiero jest kradzież czegokolwiek w celu zysku pieniężnego. Pomimo tego, że pojęcia takie narażają pracodawców na straty, nie słyszałem, aby który z nich tutaj przedsięwziął pracę w celu umoralnienia swoich służących.—Z drugiej strony znajdujący się w każdym prawie folwarku żydzi, pachciarze lub szynkarze w własnym interesie nie szczędzą namów i ułatwiają kradzieże przez zakupywanie kradzionych rzeczy i zachowywanie ścisłej dyskrecyi. Usunąć żydów, a usuniemy większą część złego, bo usuniemy kusicieli. Bez żydów, pachciarzy możemy się obejść zupełnie, chociaż nie znajdziemy na zastąpienie ich chrześcian; niedołężny tylko gospodarz nie potrafi spieniężyć mleka swego drożej, jak żyd, obchodzący się z nabiałem w sposób niewytrzymujący żadnej krytyki. Niestety przybyłoby nam jedno zajęcie więcej i to zajęcie systematyczne, a my tak tego nie lubimy! Trudniejsza sprawa z szynkarzami. Obecnie karczmy nasze, to prawdziwe akademije, w których chłop kształci się pod kierunkiem żyda we wszystkim, co się sprzeciwia moralności. Kasowanie karczem uważam za nieodpowiednie. Chłop nasz potrzebuje po całotygodniowej pracy rozrywki, lubi się zabawić a zabawę tę znajdzie tylko w karczmie. Jest on przytem w zabawie niewybredny; niech będą w karczmie huśtawki, kręgle, katarynka, niech będzie pismo jedno i drugie, kilka książek, a ilość pieniędzy, wydawanych na wódkę, zmniejszy się; obecnie, w braku innych rozrywek, pozostaje jedna tylko wódka. Karczma, dobrze pokierowana, nie tylko przestanie być źródłem złego, lecz powinna przyczynić się do umoralnienia i do oświecenia ludu. Wpływ, jaki dobra karczma na lud nasz wyrzucić by mogła, wydaje mi się tak doniosłym, że prasa powinna zwrócić na to baczniejszą uwagę. Widziałem wiele gospodarstw, w których były budynki bardzo kosztowne i stawiane podług wszelkich wymagań higieny dla inwentarza, nie widziałem ani jednego, gdzieby były tego rodzaju budynki dla ludzi służących. Jeśli nam zachoruje koń, nietylko posyłamy po lekarza, lecz doglądamy go codziennie i troskliwie pielęgnujemy; jeśli zachoruje służący, sprowadzenie doktora i zapłacenie apteki uważamy za szczyt wspinałomysłowości i ludzkości; odwiedzać chorego, dbać o to, aby miał stosowne pożywienie, pielęgnować go? jeszcze czego! Chłop—panie dobrodzieju—ma twarde życie, i bez pielęgnowania djabli go nie weźmą. Chętnie dajemy dnie wytchnienia naszemu inwentarzowi robotczemu po za świętami—dać wytchnienie podobne służącym uważamy za grzech śmiertelny. Czy możemy się dziwić, że nasza służba jest złą? *Danyisz.*

**Z pod Racina.** (Kor. „Głosu”). Gdy gorączka brazylijska opadła chwilowo z nastaniem zimy do zera, wielu zadłużonych przedstawicieli większej własności ziemskiej powzięło genialną myśl uratowania swych dziedzictw przez parcelacyję części majątku przy pomocy banku włościańskiego. Niewiem jednak, dla czego właściwie jako jeden z warunków kupna, postawili ultimatum składania zadatków wprost na swoje ręce, nie zaś do banku. Podobny warunek zrozumiałym jest zupełnie tylko u p. X., który, wzięwszy zadatki u chłopów przed licytacyją swego majątku, która go z dziedzictwa wywłaszczyła, pokazał chłopom „figę”. Czyżby i reszta obywateli tworzyła podobne projekta, świadczące o niespospolitych zdolnościach do operacyj finansowo-eskamoterskich? Nie przypuszczam. Podobny wypadek więcej się nie powtórzył dlatego, że pomijając unoszącą się znowu w powietrzu endemię „febris brasiliana”, ochotę do kupna ziemi paraliżują słone ceny tejże.—Przejeżdżałem niedawno przez jedną wieś, leżącą w pobliżu Racina. Uderzyła mnie niezwykła jej fizyjnomia. Był to dzień powszedni, mieszkańcy jednak, jak można było sądzić z pierwszego rzutu oka, świętowali. Włóczyli się gromadkami po drodze z założonemi w tył rękoma. Nastroj ich ducha widocznie nie był jednak bardzo świątecznym, gdyż najwyraźniej „nosy mieli puszczane na kwintę”.—„Cóż to dziś nikt u was nie jest u roboty—spytałem jednego z chłopów”—„A ni”—„Dlaczego?”—„A bo wej dziedzic jesse od nowo roku wsyćkich nas poodprawiał”.—Wzrok pytający utkwilem w chłopca.—„Sprawiedliwie mówię—rzekł tenże—wsyćkich poodprawiał, bo juz mu wedle gospodarstwa nikt nie potrzebny. Długów miał pełnusięńko na hipotecy i tera go bandą w cyrwcu subfestować. On juz se miarkuje, ze pewnikiem ztąd wyleci, więc i oziminy nie sioł, i z wiosną tyz nic siał nie bandzie. Toć mu juz i parobek nie potrzebny”.

„A zapłacił wam przynajmniej zasługi?” — „Boga tam, proszę pana. Niektórym parobkom jesce z dwóch abo i z trzech lat sporo winien. A jensy ogrodnik ma jesce taką moc kwitków, że i zliczyć trudno”. — „No, i cóż wy teraz robicie. Gdzieindziej miejsca nie mogliście dostać?” — „Gdzieby tam uprasam łaski jelemoznygo pana; wszędzie służby je natłok. Toć ta paru miejsce dostało, ale rešta siedziwa i głód mrze-wa. Sposobu nijakiego niema, co dzień to gozej. Jesce ta paru ma trochę kartofli, to i wszyscy od nich pozycawa. Ale co bandzie potem, to tylko Pan Bóg wie. Do cyrwca jesce daleko. W cyrwcu moze tam kto folwarek kupi na subfestacyi, to spodziewawa się zostać u niego w obowiązku. No, ale tera głód mze-wa, sprawiedliwie mówię, raz na dzień tylko jadawa, uprasam łaski jelemoznygo pana”. — Pożegna-łem chłopca. Gdym jechał dalej, przyszła mi myśl, iż aby być ajentem emigracyjnym, nie potrzeba mieć wiele sprytu, a jednak zbierać obfite żniwo. *W. R.*

#### Z CESARSTWA.

**Z gub. Podolskiej.** (Kor. „Głosu”). Ciekawy objaw stanowi gospodarka w tutejszych fabrykach. Znam cukrownię, gdzie pracują ludzie siedmiu narodowości. Klasę wyzyskującą stanowi tu element napływowy, składający się z przedstawicieli różnych narodowości; główną w nim rolę grają obecnie czesi, którzy coraz więcej rugują francuzów i niemców. Poczesne stanowisko zajmują żydzi z familją Brodzkich, kijowskich królów cukrowych, na czele. Nie ma prawie cukrowni u nas, na którejby Brodzy nie mieli akcji. Wiele ciekawych kwestyi wyjaśniłoby zbadanie dokładniejsze tej czesko-żydowskiej gospodarki. Szkoda, że sprawy tej nigdzie dotąd nie poruszano, jest ona bowiem dla kraju tego bardzo żywotną. Oryginalnem jest zachowanie się żywiołu miejscowego. Należy on do wyzyskiwanych, pracujących po 18 godzin dziennie nieraz, dla przysporzenia zysku obcym. Pracę swą oddaje on prawie za darmo bez nadziei polepszenia swego bytu, bo na wszystkie lepsze miejsca sprowadzani są zagranicznymi ludźmi. Pomimo to, czy może wskutek tego, czuje on, a przynajmniej okazuje wdzięczność swoim chlebodawcom. Jako przykład opowiem fakt. Przed 30-tu laty przybył do jednego z tutejszych panów ówczesny młody francuz, ogrodniczek. Po dojechaniu na miejsce miał on, jak sam opowiada, 20 kopiejek. Był to chłopiec zdolny, sprytny i... nieprzebierający w środkach. W ogrodzie nie ma w ziemie roboty, dano mu więc na ten czas jakieś podrzędne zajęcie w cukrowni. Chodził więc, oglądał, badał stosunki i w kilka lat potem, zebrawszy akcyonaryjuszów, zbudował nową cukrownię, której został administratorem. Od czasu założenia tej cukrowni upływa obecnie 25 lat. Francuz administrator tak zszęśliwie poprowadził interesa, że jest obecnie milionerem, a akcje cukrowni na giełdzie bardzo dobrze są notowane. Inna jednak rzecz z pracującymi tam oficjalistami; najgorzej pensyje i warunki bytu są ich udziałem. Wszyscy w tych stronach opowiadają o podłym postępowaniu z nimi administratora. Np. przyjmuje się tam oficjalistów przed kampanją, umawiając na rok, a wydała po trzech miesiącach kampanji, placąc naturalnie pensyję za trzy miesiące. Jest to wysoka oszczędność, ale i wielkie świństwo. Obecnie pracujący tam oficjaliści na uczczenie zasług męża, który tak dużo dobrego dla nich i dla kraju zrobił, postanowili ofiarować jubilatowi chleb i sól na srebrnej, drogiej tacy. Na tacy wyrzyta ma być miejscowość, uszczęśliwiona wyborem jej pod fabrykę i ważniejsze momenty z dwudziestopięcioletniej działalności jubilata. Proszę o wybaczenie, że tak szeroko nad drobiazgami się rozpisuję. Chciałem dać przykład stosunków miejscowych, o których, jeżeli pozwolicie, kiedyś obszerniej napiszę.

J- y.

**Równo.** (Kor. „Głosu”). Towarzystwo ochotniczej straży ogniowej w Równem w ubiegłym roku liczyło 121 członków płatnych (po 4 rs.) i rzeczywistych 72. Straż posiada 7 sikawek, 16 beczek i dziewięć własnych koni. Ochotnicy noszą jednolite umundurowanie, zimą szare kurtki z niebieskimi wylogami, latem drelichowe bluzy. W roku sprawozdawczym wydatki wynosiły 1,789 rs., podczas gdy dochody osiągały 1,986 rs. Deficyt powstał, jak zwykle, z powodu niewypłacalności członków honorowych. W r. b. straż ma zyskać własną strażnicę ze stajnią i remizą, na co miasto asygnuje 2,400 rs. Zarząd prenumeruje jedno z specjalnych pism zagranicznych. Na ostatnim zebraniu ogólnem straży (21 lutego) po wysłuchaniu sprawozdania, którego osnowę przytoczyliśmy, dokonano wyborów do zarządu, przy czem jednogłośnie na prezesa powołany został M. Hattowski, inżynier, na naczelnika straży D. Kwaśniewski, na członków zaś zarządu Szczepkowski, Witel, A. Rylke i Helman.

*Mowski.*

**Kamienskoje** (pod Ekaterinosławiem). Szanowny redaktorze! W nrze 11 „Głosu” zamieściliście notatkę z tutejszej żuźnicy o wypadku przy wielkim piecu. Ponieważ w zestawieniu faktów autor popełnił błąd, proszę was o łaskawe zamieszczenie sprostowania. Wybuch, o którym mowa, miał miejsce 30 stycznia, o godzinie 7-ej wieczór, przy piecu nr. 2 podczas spustu. Nikt z obecnych przy tem nie został ani zraniony, ani zabity. Dyżurny ślusarz, Leonów, odmówił swej pomocy przy zatamowaniu rurek, tłumacząc się, że dla korzyści towarzystwa (właściciela huty) nie pójdzie do wody. Czynność tę wykonał dobrowolnie młody praktykant w fabryce, inżynier politechniki w Rydze, pan Ludwik Gózewski, który wprawdzie został zlany wodą „od stóp do głowy”, pobiegł jednak natychmiast do domu i, po przebraniu się, dobrowolnie noc całą spędził znów przy piecach. In. G. pracował wówczas w hucie, jako praktykant bezpłatny; po wypadku nie chorował. Wode zatamował bez pomocy robotników. Z powodu wypadku 30 stycznia nikt nie ochorował i nikt nie umarł. W lutym zmarło dwu robotników, francuz Gheury i rosyjanin Zabud'ko. Gheury przy wypadku 30 stycznia nie był obecny, bo należąc do zmiany dziennej o 6-ej wieczór powrócił do domu. Zabud'ko w czasie wypadku robił spust przy piecu nr. 1; przy piecu nr. 2 i przy wypadku nie był czynny. Obaj zachorowali z przeziębienia, zmarli na zapalenie płuc. Wiadomość zatem o śmierci robotnika, zlanego wodą, nie jest wiarogodną. Pozostaje kwestya wydalenia robotnika, który w chwili krytycznej stanowczo odmówił posłuszeństwa. Przedewszystkiem muszę zaznaczyć, że chwila, kiedy kierujący piecem wydał rozkaz Leonowowi zatamowania wody, wolną była od wszelkiego niebezpieczeństwa. Wszyscy robotnicy byli już zebrani przy piecu, żelazo zostało już spuszczone, piec przedmuchany, przyczyna dalszych wybuchów usunięta. Woda nie lała się do pieca, lecz zewnątrz pieca i Leonów, który dwa lata pracował przy piecach dobrze o tem wiedział. Czy „wszystcy głowy potracili!” — nie wiem. Nie stracił jej żaden ci dzieł robotnicy, którzy podczas wybuchu spuszcza- żelazo, ani majster francuz, który odrazu sytuację ocenił i otuchy robotnikom dodawał; nie stracił głowy kierujący piecami, skoro posłał ludzi po drabinę i ślusarzowi polecił zatamowanie wody u góry; nie stracił głowy inżynier-praktykant, skoro pierwszy na drabinę wskoczył, ani zarządzający fabryką, skoro nieposłuszeństwo robotnika odrazu skarcił polecił. Nie potrzebował jej tracić i autor korespondencyi, skoro przy wypadku obecnym nie był. Skoro nie było „posyłania na śmierć niechybną”, pytanie szanownego korespondenta nie ma podstawy. Miałoby ono racyję, gdyby np. strumień wody dostawał się wewnątrz pieca i mógł wywołać nowy wybuch lub piec zamrozić. I wtedy jednak robotnik winien bezwarunkowe posłuszeństwo: sprawa istnienia pieca, który w fabryce żywi 2,000 rodzin i który w chwili ponownego wybuchu może pozbawić życia 20 osób, nie może być zawarunkowaną przez dobrą wolę robotników, do jego obsługi przeznaczonych. W chwilach groźnych koniecznym jest stanowczy rozkaz i stanowcze posłuszeństwo. Leonów został za brak takowego natychmiast wydalony od wszelkich pieców z zabronieniem przyjęcia do innych oddziałów fabryki. Przyjmij, redaktorze, wyrazy pozdrowienia. *Faustyn Rasiński, inż.*

**Petersburg.** Najwyższy reskrypt o generalu gubernatora fińlandzkiego, w którym powiedziano, że zanepokojenie w kraju, wywołane przez niektóre niedawne zarządzenia, nie ma żadnej podstawy, ponieważ Najjaśniejszy Pan nie ma zamiaru zmieniać podstawy istniejącego porządku zarządu wewnętrznego Finlandyi, lub odwołać prawa i przywileje nadane przez Aleksandra I i jego następców, a pragnie tylko wzmożnić węzły łączące Finlandyę z Rosyją, wywołał liczne komentarze w prasie ruskiej. — Komisya, opracowująca kwestyję kredytu mlijoracyjnego, postanowiła w zasadzie, że kredyt taki udzielany być winien zarówno większym, jak i mniejszym posiadaczom ziemskim, a także nie tylko na większe przedsięwzięcia (w rodzaju osuszeń, irygacyi), ale i na kupno ulepszonych narzędzi, nasion, bydła i t. d. — W klubie ekonomistów p. Radzig miał ciekawy odczyt o cłach na cukier. Utrzymywał on, że państwa (Rosyja, Austryja, Niemcy i Francya), które zapragnęły mieć własną fabrykację cukru, muszą przepłacać 10,000,000 rs. rocznie za tę przyjemność. Anglija, kupująca cukier za granicą, płaci zań o 1 rs.—1,20 taniej na pudzie. Konsumcyja cukru w Anglii wynosi 80 funtów rocznie na głowę, Francyi 27, Austrii 14,6, Rosyi 7,7 f., dzięki protekcyjonizmowi fabrykacja cukru stoi w Rosyi daleko gorzej, niż gdzieindziej. Z 400 f. buraków otrzymuje się tu 40 f. cukru, w Niemczech 48. — Moskiewski komitet oświaty (*gramotnosti*) opracował katalog lepszych ksążek ludowych, weszło doń 170 dzieł na cenę 33 rs. 18 kop. — Permskie ziemstwo stara się o zatwierdzenie ustawy banku, mającego udzielać pożyczki kustarom. Przeznaczone na ten cel przed 10 laty 60,000 rs., urosły obecnie do 100,000 — Prasa ruska żywo interesowa-

ła się sprawą Barteniewa i w ogóle (z wyjątkiem *Mosk. Wied.*) uznała, że sąd był dla oskarżonego zbyt łaskawym. Obecnie w *Żurnale gražd. i ugod. prawa* ukazał się artykuł, poświęcony tej sprawie w tym samym duchu. — Słynna aktorka petersburska Sawina zamieszcza w gazecie *Swiet* list z zaprzeczeniem pogłoski, jakoby miała w tym roku zamiar przyjechać do Warszawy na występy z trupą Korsza.

#### Z ZAGRANICY.

**Kraków.** (Kor. „Głosu”). W politycznym usposobieniu pp. konserwatystów galicyjskich zaszła widoczna zmiana, wróżąca, że stronnictwo, istniejące dawniej pod hasłem „stania i stać chcenia”, dziś zaś pod zmienionem już „wyczekiwania”, nie byłoby dalekiem od pewnego współdziałania z lewicą niemiecką w parlamencie, nie godząc się jedynie na hegemonję i panowanie niepodzielne sojuszników wszelakich Press i Błatów. W sobotę, jak się dowiadujemy, uchwalono w Wiedniu utworzyć klub Hohenwartha, idący ręką w rękę z centrum, który liczyć będzie pono około 80 członków. „Czas” zapewnia, że polscy posłowie pójdą z Hohenwarcistami społem w myśl wskazówek p. Jaworskiego, b. prezesa koła polskiego: „z niemcami, ale nie pod niemcami”. Charakterystycznie określają dzienniki zachowawcze przyszłą większość parlamentarną, twierdząc, że taktyka „von Fall zu Fall”, proponowana przez Taafego, nie jest wcale tak niekorzystną. Sześćdziesięciu czterech posłów polskich i ruskich stanowić ma wedle „Czasu” i „Przeglądu” zastęp, który zaważy na szali parlamentarnej. Lewica centralistyczna stanie w liczbie stu dziewięciu, klub Coroniniego liczyć będzie 23 członków, młodoczesi zajmą 38 miejsc, wreszcie posłów różnych odcieni wejdzie do izby trzydziestu kilku. W ten sposób między najliczniejszym zastępem posłów autonomiczno-zachowawczych, a klubem lewicy znajdują się wszystkie inne frakcyje „do robienia polityki”. Na razie więc o stałej kombinacyi, t. j. pewnej większości rządowej, wobec wielu odcieni i prądów parlamentarnych, oraz powolnego dojrzenia nowych klubów i stronnictw — mowy nie ma. Podczas gdy nad Dunajem waga się losy polityki austryjackiej — u nas w Galicyi, a osobliwie w Krakowie, drobne zatargi i awanturki rozpraszają nudy przedświąteczne i tworzą przedmiot salonowych i kawiarnianych pogawędek. Wiecie już z poprzedniego listu o sporze między monometalistą „Reformy” a bimetalistą „Czasu”. Ofiarą ekonomicznej polemiki, padł niespodziewanie dr. Juljus Leo, docent Wszechnicy Jagiellońskiej, który dotąd kierował działem ekonomicznym w naszym Monitorze. Rzecz się tak miała. Redaktorowie „Czasu”, pp. Chyliński, Dębicki i Sadowski, bez wiedzy d-ra Leo zaatakowali broszurę „N. Reformy”: „O uregulowaniu waluty”, czyniąc jej zarzuty ze swego w tej kwestyi stanowiska. Organ postępowców uderzył jednak w replice na ekonomistę „Czasu”, suponując, że autorem polemicznego artykułu jest p. Leo. Ten, nie chcąc sobie zrazić posła Weigla (protektora „Reformy”), jako kandydat na posadę sekretarza izby handlowej, umieścił w temże piśmie oświadczenie, iż z polemiką „Czasu” nic niema wspólnego. Ztąd gniew i oburzenie naturalne „Tempusa”. „Jak to — wołali jego szefowie — nasz współredaktor, kandydat na profesora Uniw. w jakichs konszachtach z „wichrzycielskim organem”, umizga się do wrogów, a więc reneгат, zdrajca, precz z nim”. Słowa te niebawem stały się ciałem. Dr. Leo dostał formalną dymisyję, dział ekonomiczny czasowo objął p. Ehrenberg, aby po tygodniu oddać go w ręce prof. Milewskiego. Wprawdzie p. Leo za zdradę dotąd nie aresztowano, ale slychać, że mu dali w senacie złą kreskę i zapisali na indeksik. Z katedrą tedy na dłuższy czas może się pożegnać. Inaczej znowu postępują wielebni ojcowie „Societatis Jesu”. Nie na rękę im, z natury rzeczy, każde pismo, przeciwnie kameruńskiej propagandzie na galicyjskim gruncie. OO. Jezuitci rozporządzają pokaźną armiją „zbawionych owieczek”, które, czując szczególną miłość do afrykańskich chłopców, sympatyje swe szerzą po całej prowincyi w postaci „kółek afrykańskich” i tym podobnych filantropijno-jezuickich instytucyj. Bukieciak dam rozwinął się z wiosną jeszcze bujniej, a sprawie „wyzwolenia murzynów” przybyła nowa filja w Rzeszowie. U nas tymczasem wzięto się na gwałt do zgniecenia „Świata” Sarneckiego, jako pisma „niemoralnego i antykatolickiego” (?). Nie uwierzycie może, a jednak faktem jest, że ks. jezuita Badeni w Krakowie, ogłosił krucyjatę przeciw „Światowi” z ambony, zabraniając popierać to pismo. Opowiadają sobie, iż dewotki, łaknące pieprzonych przysmaków i rysunków, zaopatrzyły się bezpośrednio po kazaniu ks. Badeniego w ostatni numer „Świata”, w nadziei, że znajdą tam „coś pikantnego”. Zawiodły się jednak biedne stróżki moralności afrykańskiej i dla tego tem zajadlej intrygują przeciw „Świa-

tu". Kazano, więc muszą.—Kolo literackie obchodziło tutaj wczoraj 10-letni jubileusz, swego istnienia... uczta składkowa. W toastach podnoszono działalność prezesa tego stowarzyszenia (od r. 1881) p. Juljusza Kossaka, po czym kadzono sobie wzajemnie, wedle tradycji i zwyczaju. Szkoda tylko, że nieznaczono w chwili poważnej wybitnych talentów wielu członków nie-literatów do „ferbla, pikiety i preferansa”.—Na 10 członków „Kola” jest ośmiu nie-literatów i nie-artystów.—Znany powieściopisarz Sewer kończy dużą powieść na tle naszych stosunków, p. t. „Nafta”.—Zmarł tu dziś ks. Waleryjan Serwatowski, autor licznych dzieł, członek Akademii Umiejętności.

Voz.

**Lwów.** (Kor. „Głosu”). Informacje moje o zatarciu osobistym między pp. Lewakowskim a Szczepanowskim sprawdziły się. Rzeczywiście ostatni pojedynku nie przyjął, natomiast opublikował w dziennikach list, że nie miał żadnego zamiaru czynić w swej „odezwie do wyborców” zarzutu, któryby w czemkolwiek mógł uchybić czci i honorowi szan. posła. W ten sposób sprawę umorzono. Przymuszczałem przyjęcie p. S. mandat z tutejszej Izby handlowej, skłoniony do tego przez swych przyjaciół i kolegów z parlamentu Drożył się autor „Nędzy”, ale pojedzie do Wiednia, czego mu znowu za złe brać nie należy. „Gazeta lwowska” donosi, że cesarz zezwolił na założenie we Lwowie z początkiem r. 1892/3 piątego niższego gimnazjum państwowego. Wobec fatalnego pomieszczenia średnich szkół gal. oraz bajecznie małej liczby gimnazjów w kraju, utworzenie przez rząd niższego gimnazjum (z posadami: dyrektora i 5 profesorów) nie zaradzi piekającej potrzebie kilku szkół, które nam oddawna już pp. ministrowie przyobiecali. W Krakowie np. wciąż traktuje kasa oszczędności z rządem w sprawie IV gimnazjum, wyłaniające się jednak co chwila przeszkody i jakby umyślnie przewleknięcia paraliżują pożądaną akcję.—Minister oświaty zarządził, aby utrakwizm językowy, istniejący już na wyższych kursach seminarjów we Lwowie, Stanisławowie i Tarnopolu, wprowadzić również na pierwszym kursie tychże uczelni.—W związku z powyższymi wiadomościami, mogę zakomunikować Wam, że szkoła rolnicza w Dublanach została przez dyrekcję z nakazu wyższej władzy zamknięta, a to z powodu nagłego wypisania się z zakładu 30 uczniów.—W czasie licznego zjazdu w bieżącym tygodniu członków gal. Tow. gospodarczego, Tow. kredytowego ziemskiego i rady nadzorczej banku krajowego, omawiano tutaj sprawę założenia nowego pisma „umiarkowanego” na silnych podstawach merytorycznych, któremu mogli użyć swej firmy ks. Sapięha i Lubomirski.—Wczoraj odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki *Władysława Golemberskiego*, zdolnego publicyści i dziennikarza, redaktora „Gaz. Nar.” Golemberski odznaczał się szczególną znajomością spraw węgierskich, jakiej nabył w czasie dłuższego pobytu w Peszcie, jako sekretarz hr. Andrassego. Nieboszczyk umarł w nędzy, ale zostawił po sobie dobre imię.—Prezesem Tow. historycznego w mieście zmarłego prof. Lisiego został prof. T. Wojciechowski, sekretarzem dr. Finkel, redaktorem zaś „kwartalnika” dr. Oswald Balzer. — Pisma ruskie żądają, aby powołano na członków izby panów także dwóch ich przedstawicieli, mianowicie: pp. Fedorowicza z Oksza i d-ra Ogonowskiego. *Lambda.*

## PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Dzienniki wiedeńskie podają następującą statystykę wyborów do rady państwa. Wybrano 109 liberałów niemieckich, 17 niemieckich narodowców (stanowią oni stronnictwo wielko-niemieckie austriackie), 29 klerykałów niemieckich, 14 antysemitów, 58 polaków, 8 rusinów, 12 staroczechów głównie z Moraw, 37 młodoczechów, 18 szlachty czeskiej, 11 włochoń liberalnych, 4 klerykałnych, 8 członków śródka, 8 serbokratów (z Dalmacji) i 16 słowenów. Widzimy z tej statystyki, że hr. Taaffe ma istotnie nader trudne zadanie, to też konferuje on zawzięcie na wszystkie strony, ale z małym powodzeniem.

Śród stronnictw, składających dawną prawicę, agituje się żywo myśl połączenia drobnych stronnictw w jeden wielki klub pod wodzą Hohenwartha. Ten ostatni nienawidzony jest przez liberałów niemieckich za swe federalistyczne dążenia, polacy natomiast nie chcą wchodzić do większości, z której byłby on wyłączone. Klub Hohenwartha wówczas tylko nabrałby większego znaczenia, gdyby udało mu się zawrzeć sojusz z młodoczechami. Nasuwa się tu jednak wiele trudności, zresztą i młodoczesi już się rozpadają. Osobista kłótnia między Eymem a Vaszatym podra-

źniła tlejące nieporozumienie i dziś młodzi rozpadają się się na odłam „umiarkowany” pod wodzą Herolda i Lyra i radykalny (czyli „panslawistyczny”, jak go przezywają) z Gregrem i Vaszatym na czele.

W Niemczech wielką sensację zrobiły rewelacje pism bismarkowskich, które odkryły, że jeszcze za panowania Wilhelma I minister Bötticher otrzymał bardzo znaczną „pożyczkę” z tak zwanego funduszu Welfów, t. j. z sum, skonfiskowanych królowi hano-werskiemu. Rewelacje te miały, jak się zdaje, na celu skompromitowanie ministra, który się okazał „niewdzięcznym” dla swego dobroczyńcy, ks. Bismar-ka. Intryga się nie udała, Wilhelm I bowiem okazuje demonstracyjnie oskarżonemu swe zaufanie. Natomiast przyczyni się ta historia do ostatniego rozstrzygnięcia sprawy Welfów. Podobno ks. Kumberlandzki, jako prawy następca zgasłego króla Jerzego hanowerskiego, będzie odtąd otrzymywał procenty ze skonfiskowanego funduszu, potomkom zaś jego zwrócony będzie tron brunswicki, na którym obecnie w charakterze regenta zasiada jeden z książąt pruskich.

Telegram donosi, że Włochy zawarły nareszcie z Angliją traktat, rozgraniczający sfery wpływu tych dwóch mocarstw w Afryce. Abisynija przyznana została Włochom. Przyznanie to nie na wiele się jednak przyda, bo Menelik odmówił ratyfikacji dawnych traktatów i oskarża Włochy o przekroczenie nakreślonej poprzednio granicy.

Anglija ma nowy kłopot z Newfoundlandem. Kolonia ta protestuje przeciw zamierzonemu sądowi polubownemu między Angliją a Francją, sądzi bowiem, że sama przedewszystkiem o swych interesach decydować winna.

Parnell był entuzjastycznie przyjmowany w Kor-ko. Wpływ jego zaczyna znowu wzrastać, duchowieństwo zaczyna się chwiać i bardzo jest możliwym, że przetrzuci się na jego stronę, albo też zajmie stanowisko neutralne.

Na granicy alzacko-francuzkiej zaprowadzono już pewne ulgi paszportowe.

Zmarły w Rzymie ks. Napoleon wydziedziczył w testamencie swego starszego syna, Wiktora, czyniąc swoim spadkobiercą ks. Ludwika. Gwałtowne wyrwanie się do pokoju umierającego ojca niewiele przyniosło korzyści ks. Wiktorowi i to nawet pomimo że ateistyczny książę pogodził się na łożu śmierci z kościołem, o dobrowolności zresztą tego ostatniego postępkę rozmaicie mówią.

Sądy wojenne portugalskie skazały na ciężkie kary za udział w rokoszu 206 żołnierzy i 6 cywilnych.

## KRONIKA POWSZECHNA.

— **Rozporządzenia rządowe.** W „Zbiorze praw” zamieszczono rozporządzenie o zastosowaniu do Królestwa Polskiego przepisów o karach za przewożenie kontrabandy, jakie obowiązują w Cesarstwie. — Ministerjum spraw wewnętrznych wyjaśnia, że komisje do spraw włościańskich mogą przedsięwziąć środkami, celem unieważnienia aktów, zawartych przez włościan, o ile akty sporządzone zostały wbrew specjalnym przepisom o włościanach. — Ministerjum komunikacji zarządziło, aby na wszystkich bez wyjątku stacjach kolei znajdowały się obowiązkowe apteczki z odpowiednimi preparatami do niesienia pierwszej pomocy chorym pasażerom.

— **Kronika społeczna.** Opracowuje się projekt, według którego zamast starania się o pozwolenie t. zw. prewencyjne, organizatorowie spółek i towarzystw będą musieli tylko składać w urzędach właściwych oświadczenia o zamierzonym zorganizowaniu kompanii. W tym celu będą opracowane szematyczne statuty.—Schronienie nieuleczalnych w Warszawie, istniejące już 17 lat, utrzymuje się z dobroczynności prywatnej. Zakład utrzymywał 92 osób. Dochodu było 13,315 rs., wydatków na 11,104 rs.—Kuchnie tanie w Warszawie wydały w r. z. 843,934 obiadów. Majątek ich wynosi 24,601 rs.—Galicyjskie tow. „Macierzy” liczyło w r. z. członków 1,321, wydało 135 tys. złr., z których udzielono tow. kółek rolniczych 1,200 złr., tow. pszczelnicztwa i ogrodnictwa 400 złr. i na urządzenie wędrownych wykładów o uprawie lnu 290 złr.—W olejarni Strachla w Małobądzu pod Będzinem robotnicy zaprzestali pracy z powodu obniżenia zarobków.—Urzednicy kolei i wangr.-dombr. starają się o założenie kasy zaliczkowo-wkładowej.—Sprawa zorganizowania w Warszawie pomocy lekarskiej podczas nocy została odłożona wobec otrzymanej z Petersburga wiadomości, iż w departamencie lekarskim opracowywana jest teraz nowa ustawa obowiązkowej organizacji pomocy lekarskiej dla wszystkich miast w państwie, które liczą więcej nad 50,000 ludności.—Jednocześnie z zaprowadzeniem nowych przepisów sanitarnych dla fabryk i zakładów przemysłowych,

według również w wykonanie obowiązkowe przepisy sanitarne dla miast.—Skutkami tegorocznej powodzi w Poznaniu dotkniętych jest 3,093 osób.—Tow. opieki nad uwolnionymi więźniami we Lwowie ze 102 zgłaszających się przyjęło w r. z. tylko 42-ch. Dochód wynosił 1,305 złr.—Komitety więzienne będą szacowały pracę więźniów na równi z placą praktykowaną w danym okręgu fabrycznym, na którego terytorjum znajduje się więzienie, o cenach zaś tych uwiadomiac powinien inspektorat fabryczny. Z otrzymanej płacy za pracę więźniów tylko 1/3 część może być przeznaczoną na korzyść ich osobistą, reszta zaś na fundusze więzienne, mające swe specjalne przeznaczenie.—Rząd włoski myśli o zaprowadzeniu domów przytułku dla obłąkanych kryminalistów „manicomi criminali”.—W gub. grodzieńskiej ma być założoną sieć stacyj meteorologicznych.—Ma być obliczona ilość wszystkich drukarń w Rosyi. Gub. podolska posiada 19 drukarń.—Tow. ratowania tonących ma 1,243 filije, podało w r. z. pomoc 196 tonącym i uratowało 32 statki. Takież tow. w Anglii ocaliło w ciągu 25 lat 25,300 rozbitków.—Wkrótce w kraju południowo-zachodnim rząd przystąpi do wykupu miast od właścicieli prywatnych. Miasteczka wykupywane nie będą.—Rada państwa obraduje obecnie nad projektem do prawa o reorganizacji t. zw. rycerskich korporacji w gub. nadbałtyckich. Na przyszłość szlachta nadbałtycka ma korzystać z praw i przywilejów wspólnych dla innych prowincji państwa, a instytucje szlacheckie będą prowadziły wszystkie czynności w języku urzędowym.—Ministerjum spraw wewnętrznych rozstrząsać będzie projekt kilku urzędów ziemskich co do zastąpienia podatków powinnościami w naturze.—Komisja francuzka, mająca zająć się zbadaniem Rosyi pod względem ekonomicznym, przemysłowym i rolniczym, będzie miała dodanych sobie urzędników skarbu i dóbr państwa. Nadto zamierza powołać wybitnych rolników ruskich, oraz rzeczoznawców.—W Ameryce liczą przeszło 2 milij. włochoń.—Ludność Stanów Zjedn. wynosi 62,480,540 głów.

— **Kronika ekonomiczna.** Kasa zaliczkowo-wkładowa warszawskiego instytutu muzycznego liczy uczestników 40. W r. z. wpłynęło rs. 1,624. Pożyczek udzielono 32 osobom na ogólną sumę rs. 3,932.—Kasa zaliczkowo-wkładowa urzędników i oficyalistów sądu okręgowego warsz. liczy uczestników 203. Pożyczek udzielono w r. z. na sumę rs. 28,731. Dywidenda wyniosła 5,80/0 na rok. Kapitał zapasowy stanowi rs. 1,815.—Tow. kredytowe w Łodzi w r. z. wydało 315,200 rs. na pożyczki, które od początku istnienia tow. wynoszą sumę 7,76 milij. rs. Przewyżka dochodów wynosi 37,664 rs.—Tow. spożywcze w Tomaszowie fabrycznym, liczy członków 100 z kapitałem 4,475 rs. Obroty sklepu wynosiły 33,743 rs., zysk—664 rs.—Nowe kanały wybudowane już są w Warszawie na 82 ulicach, a z tych na 62 skanalizowano 312 posesyj. Stare kanały znajdują się jeszcze na 45 ulicach.—Nowa pożyczka kanalizacyjna wynosi 4 milij. rs.—Tak zw. „krowiarni” znajduje się w Warszawie 520, krów dojnych 1,930, czyli, licząc przywóz z okolicy podmiejskiej na 4,000 garnocy, wypadnie, iż dzienna konsumpcja mleka wynosi w Warszawie przecięciowo 7,860 garnocy.—Wkłady lwowskiej kasy oszczędności w r. z. wynosiły 22,114,705 złr., należących do 56,162 osób. Fundusz rezerwowy wynosił 2,212,328 złr., a emerytalny 319,123 złr. Na cele użyteczności publicznej ofiarowano od r. 1884-go 235,691 złr. Czysty zysk w r. z. wynosił 120,352 złr., z czego przeznaczono na dobroczynność 11,500 złr. (dla zakładów lwowskich).—Lwowski bank krajowy miał w roku zesz. 138,780 złr. zysku czystego.—W jesieni r. b. odbędzie się w Wilnie wystawa przemysłowo-rolnicza, w której udział wezmą gub.: wileńska, kowieńska, grodzieńska i mińska. Wyjątek stanowi drobny przemysł domowy w gub. całego kraju zachodn. i Królestwa.—Znacznie rozwinięty przed kilku laty w Aleksandrowie (pow. łódzki) wyrób towarów półcoshnicznych z każdym rokiem maleje, a to z powodu małego zbytu.—Fabryka żelaza w Milowicach spotrzebowała w r. z. 915 tys. pudów surowca, z których tylko 60 tys. sprowadzono z zagranicy.—Zatwierdzona została ustawa tow. warów solnych w Ciechocinku. Kapitał zakładowy tow. wynosi rs. 1,200,000, podzielonych na 1,200 udziałów. Zarząd tow. znajdować się będzie w Petersburgu.—Wysokość pożyczek, wydawanych na zboże przez zarząd kolei połudn.-zach., wynosi na pud pszenicy 62 kop., żyta—45 kop., kukurydzy—37 kop., lnu i owsa 81 kop., prosa—40 kop. Agenci królewieckich i odeskich domów handlowych wydają jednak wyższe pożyczki, na 90/0.—W bież. r. będą otwarte 4 stacje ogierów w gub. płockiej i 6 stacyj w gub. siedleckiej, urządzone przez zarząd stądniny janowskiej, który w gub. grodzieńskiej urządził już 3 takich stacyj.—W Rosyi Europejskiej r. z. padło bydła na księgosusz 22,159 sztuk, na karbunkul 16,825, w tej ostatniej liczbie 1,681 padło w Królestwie.—Wobec wzrastającego z każdym rokiem wywozu za granicę poruszona została myśl gromadzenia od-

nośnych danych statystycznych.—Departament przemysłu i handlu zajął się opracowaniem normalnego rozgankowania zboża na zasadzie 10-cio-letnich ostatnich urodzajów w państwie. Próbkę normalnych gatunków rozesłane będą we wrześniu do portów, oraz komitetów giełdowych.—Na wystawie artystyczno-przemysł. w Petersburgu. otrzymały nagrody panie: Mazurkiewicz z Grabowca, Wikszemska, B. Łepicka, Poświkowa, Korycińska (szkoła rzemiosł) i t. p. — Kolej połudn.-zach. stara się o zbudowanie odnogi z Nowosielic do Kamieńca Podolskiego.—Nowa fontanna w Bałachanach (Baku) wyrzuca dziennie 300 tys. pudów nafty.

— **Szkoly i oświata.** W lipcu r. b. zostanie otwartych w Warszawie 18 nowych szkół miejskich elementarnych, a mianowicie: 10 męskich i 8 żeńskich dla dzieci wyznania chrześcijańskiego, oraz 3 męskie i 2 żeńskie dla dzieci żydowskich. — Ministerjum oświaty opracowało normalną ustawę muzeów pedagogicznych, urzędowych z funduszy miejskich.—Ministerjum komunikacji ogłosiło konkurs na podręczniki dla szkół kolejowych: ślusarstwa, kowalstwa, obrabiania metalów, telegrafii praktycznej i rachunkowości kolejowej. — Politechnikę w Zurichu w półroczu zimowym ukończyli na wydziale inżynierskim pp. Bronikowski, Brodowski, Narutowicz, Trzciniński; mechanicznym Świętochowski; rolniczym Bondy.—Tow. pomocy naukowej na Prusy zach. miało w r. z. dochodu 10,430 marek. Stypendya pobierało 13 medyków, 1 chemik, 1 malarz, 2 prawników, 1 aptekarz, 2 techników, prócz tego znaczna liczba uczniów gimnazjalnych. Rozchód roczny wyniósł 8,678 marek. Nowych członków przystąpiło 74, ubyłoby przez śmierć 20.—Ogłoszone zostało pozwolenie na urządzenie w Moskwie w r. 1893 zjazdu osób, zajmujących się sprawą wykształcenia technicznego i fachowego.—Estońskie tow. naukowe w Rydze rozpoczęło 54 rok istnienia, liczy 815 członków, bibliotekę składającą się z 9,227

dzieł i 525 rękopisów, muzeum starożytności i monet z 3,600 sztuk i prowadzi korespondencyję z 155 stowarzyszeniami naukowymi.—Biblija z r. 1450, drukowana w Moguncyi, została nabyta w New-Yorku za 75,000 funtów. Twierdzą, iż drukował ją Guttenberg.—Pierwsze wydanie dzieł Shakespeare'a z r. 1623 zostało nabyte za 21,000 fr., pierwsze wydanie Wirgiliusza, drukowane w Wenecyi w r. 1470, dosięgło 15,000 fr. — Z powodu czterechsetnej rocznicy zaprowadzenia sztuki drukarskiej w Kopenhadze otwarto obecnie wystawę międzynarodową książek. Pierwszą książkę duńską wydrukował w 1491 r. Gotfryd de Ghemen.

— **Literatura i sztuka.** Tow. Zach. sztuk pięknych w Warszawie zakupiło 45 dzieł sztuki za rs. 6,555.—Na wystawę berlińską artyści polscy nadesłali już 200 obrazów, z których, wskutek braku miejsca, tylko 120 może być przyjęta.—Rzeźbiarz Lewandowski pracuje we Lwowie nad posągami Mickiewicza, przeznaczonym dla szkoły imienia wieszca.—Ministerjum oświaty zatwierdziło programy zapowiedzianych na rok 1892 w Moskwie kongresów: archeologicznego, antropologicznego i zoologicznego.—„Zbiór praw“, obowiązujących w Królestwie Polskiem, ukazał się tom X, obejmujący półrocze 2-e 1889 r.—Dr. Celichowski wydał przedruk „Historii prawdziwej, która się stała w Landzie, mieście niemieckim“, 1568 r.—Emil Zola pracuje obecnie nad nową powieścią „Wojna“, która tak samo, jak „Pieniądz“, należąc będzie do cyklu „Rougon-Macquart“—Wychodząca w Norymberdze gazeta „Esperantisto“ donosi, że w tych dniach opuszcza prasę, tlómaczone na język esperancki „La Nowa Jaro“ Bolesława Prusa i „Janko Muzikanto“ Sienkiewicza w tlómaczeniu A. Grabowskiego.— Z 20-tu komedij Plauta (III w. przed Chr.), przełożono na język polski 10.—Nowa opera Masseneta „Mag“ cieszy się w Paryżu powodzeniem. Autora libreta Richpin'a M. Crandford obwinia o plagiat. — Zo-

stała wzbudzoną sprzedaż oddzielnych numerów gazet: „Nowoje Wremia“, „Syn Otieczestwa“ i „Grazhdanin“.

— **Rozmaitości.** Według zdania Flammariona, Lancastera i in. temperatura w Europie powolnie, ale stale się obniża.—Obliczają, że słońce przyświeca Londynowi w ciągu 4 miesięcy (listopad—luty) tylko 181 godzin.—Budżet Watykanu wynosi z górą 7 milj. lirów, z których pół milj. idzie na prywatny użytek papieża.—Głośny włoski egiptolog Manero odczytał na jednym z papyrusów zajmujący opis bezrobocia, które miało miejsce 3,000 lat temu przy budowie jakiejś świątyni. — Floty rozmaitych państw: Wielka Brytania posiada 125 krzyżowców; Francya 63, Włochy 21, Rosya 31, Niemcy 26, Austryja 17. Gdy Anglija ma do zasłonięcia od napa- dów 12 tys. statków kupieckich, reszta wymienionych państw—tylko 6,600.

— **Nekrologija.** Dr. W. Lubelski, znany lekarz psychiatra, zm. w Warszawie.

### Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. S. Dulk. w Płw. Zesz. I i II Inst. Pol. wysłaliśmy. Należy się nam jeszcze za nie 87 kop.

P. Z. Popł. w Petersburgu. Zesz. II Inst. Obrzęd. (60 k.) i I Inst. Polit. (60 k.) wysłaliśmy. Należy się jeszcze 32 kop.

P. F. Sand. w Bokor. Zesz. I Inst. Pol. wysyłamy. Gazeta R. w Ber. Pierwsze dwa zeszyty Inst. Polit. wysyłamy.

Do numeru bieżącego dodajemy zeszyt pierwszy *Instytucyj Kościelnych*, jako dodatek za kwartał I. b. r.

## OGŁOSZENIA GŁOSU.

### CZYTELNIJA NAUKOWA

posiada 80 czasopism przeważnie naukowych, pedagogicznych, filozoficznych, społeczno-ekonomicznych i pedagogicznych w językach: polskim, ruskim, francuzkim, niemieckim i angielskim.

Otwarta codziennie od god. 10 rano do 10 wieczór.

W niedziele i święta od 11 r. do 3 p. p.

Adres: Nowy-Swiat Nr. 34 m. 4.

### INTROLIGATORNIA

#### Władysława Wiśniewskiego

przyjmuje wszelkie roboty w zakresie introligatorstwa wchodzące.

Ceny broszurek suliono.

### FABRYKA PUDEŁEK

#### Maryi Wiśniewskiej

podejmuje się większych i małych dostaw pudełek.

Marszałkowska N. 114 róg Złotej N. 9.

8—8

### DOSTAWCA DWORU

Cesarsko - Austryjacko - Węgierskiego.



### EXSICCATOR

Niszczy grzybek drzewny i osusza wilgoć raz na zawsze i t. p.

Broszurkę, niezbędną dla każdego budującego wysłać franco i bezpłatnie.

Wyn. Inż. Tech. G. RITTER  
Królewska Nr. 39.

**DYWANY** wszelkie pokrycia meblowe, Kołdry, Kapy, Chodniki, Serwety, najlepiej kupować w głównym składzie Giełżyńskiego, Marszałkowska 137.

Adres: ulica Niecała  
Nr 12.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu  
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedya  
Encyklopedya  
Encyklopedya

**E. H.**

Humoru  
Humoru  
Humoru

Cena tomu opłaconego z góry 2 rs. Wychodzi mniej więcej w odstępach tygodni.

Wyszedł z druku zeszyt XLIII.

Wyszły z druku i są do nabycia we wszystkich księgarniach

### KÓŁKA ROLNICZE

#### W GALICYI

przez

Jadwigę z Siczawskich Dawidową

(odbitka z Głosu).

Cena 15 kop.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga Plato v. Reussnera

### NAJLEPSZA METODA

do nauczania się bez Nauczyciela czytając i rozmawiając po niemiecku w 3-ech miesiącach, po angielsku w 24 lekcjach. Cena metody niemieckiej kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet, t. j. kurs niższy i wyższy razem, tylko 2 rs. Metoda angielska z wymową, kurs niższy k. 75. **Najlepszy Elementarz Polsko-Niemiecki i Rusko-Niemiecki** z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami kop. 35, 30, 20 i 10 (oprawy kop. 45). **Najnowszy Elementarz Polski** z 20—40 wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem 340 figur, tudzież ze wskazówkami pedagogicznymi k. 25, 20, 15, 10 i 5. **Powiatki Polsko-Niemieckie** 20 kop. **Powieść Ali-Baba i 40 zbrojców** 15 k. **Myśliwi Giełz, powieść** 10 k. Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po k. 20.

Skład główny u autora (P. v. Reussnera) ulica Marszałkowska Nr. 142 w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i w redakcyi „Głosu“ jest do nabycia książka dla ludu p. t.

**O SUCHOTACH CZYLI GRUŻLICY**  
jak się tej choroby wystrzegać

napisał

Sewer Ster, lekarz.

Cena 2½ kop. (pięć groszy).

### Sprzedaż hurtowa Nafty

Najwyżej Zatwierdzonego Towarzystwa

### BRACI NOBEL

Książęca 4

róg Nowego Świata

Kantor

WARSZAWA

Książęca 4

róg Nowego Świata

Kantor

Mając stosunki z pierwszorzędnym źródłem, mam zaszczyt podać do wiadomości, iż najlepszą naftę Kaukazką, Olej lniany, Oleje mineralne i Smary, sprzedaję beczkami po cenach targowych.

Ekspedycja do wszystkich punktów kraju.

Odstawa natychmiastowa.

Obstalunki przyjmują się pod wyż wskazanym adresem.

## SZKICE FOTOGRAFICZNE

z

## „Zakutego-Grodu”

przez

Kazimierza Glińskiego

(Dalszy ciąg).

Powietrze jadalnej sali napełniło się cudowną wonią aromatycznych potraw. Ogromne kawały roastbeefu o barwie różowej, przypieczone z lekka na ogniu, delikatnym zapachem drażniły powonienie, a majowej zieloności sałata, którą otoczone były, jakąś słodyczą pachniała; dzikie kaczki z zapachem kilkodniowym wpraszały się same do ust; kuropatwy, tylko co zdjęte z roznów, wydawały z siebie rozkoszną woń przyrumienionego masła; jędrne, kruche trufle—odurzały. Klasyczna polędwica dwuokciowej długości zdawała się mówić: zjedz mnie! a delikatna, biała pieczeń cieleca jakimś romantyzmem wiała. Pan Heliodor porównał ją nawet do erotycznych sonetów wieszczów doby dzisiejszej.

Nie czekano zaprosin gospodarza. Zanurzyły się skwapliwie widelce w łona kaczek i kur; kawały roastbeefu z niebywałą szybkością przenosiły się z półmisków na talerze; Sadłowski obwachiwał każdy kawałek i potniał. Miano pierwsze kaski do ust podnieść, gdy nagle...

— Ach!—zabrzmiało w powietrzu.

Pan Aleksander stał przed stołem z potężnym kawałem mięsna na widelcu, lewą rękę trzymał przy czole, a w twarzy malowało się przerażenie wielkie.

— Co to jest? co to jest?—odezwało się głosów kilka.

Doktor medycyny nieprędko do słowa przyszedł.

— Panowie!—zaczął dławiącym się głosem—dzisiaj... piątek, tędy i tędy!...

Trzask piorunu mniejby przeraził.

Milczenie było ogólne i ogólne przerażenie.

W fatalny dzień urodziła się Józieczka! To też z nienawiścią spojrział na nią bliski rozpaczy Sadłowski. Piątek! dzień postu!... Zapomnieli o tem rodzice i goście, ale dla czego nie przypomniał ksiądz Anioł? Wiedział przed tygodniem o dniu uroczystości i milczał. Co to jest? dla czego tak zrobił?...

Zaczęto szeptać.

Pani Honorata chude ramiona podniosła, a głowę skrećwszy na lewo, patrzyła zezem, jak gęś, gdy ją coś niezwykłego zastanowi.

— Możeby wiesz do dwunastej godziny odłożyć?—rzuciła myśl pani Adela.

— Ba!—jęknął doktor—kiedy po piątku zawsze bywa sobota.

— Prawda!—zabrzmiało westchnień kilka.

— Możeby do niedzieli poczekać?—odezwała się Zosia Troińska.

Sadłowski zaprotestował gwałtownym ruchem głowy i jakimś ponurem mrużeniem—ksiądz Anioł opuścił oczy.

Co robić?... goście głodni, a wonna para z kaczek i kur unosiła się w powietrzu. Nigdy tak aromatycznie nie pachniały potrawy jak w onej fatalnej chwili.

Przygnębienie oniemiało usta wszystkim—widelce z brzękiem na talerze upadły, smutek osiadł na czołach mężczyzn i kobiet. Tylko ksiądz Anioł pogodnymi oczyma patrzył przed

siebie—wzrok jego mimowoli skierował się do Dosi, która ze skromną minką spoglądała na talerz i wzdychała ciężko nad leżącym przed nią kurczęciem. Dosią podniosła oczy, spojrziała w twarz księdza i o mało nie parsknęła śmiechem serdecznym.

Wtem pan Aleksander się poruszył i wskazując ręką na okna, przez które widać było oświetlony dom biskupi—rzekł uroczyście:

— Chwileczkę, chwileczkę poczekajcie—zbawienie nasze... tam!

Ujął kapelusz i pędem strzały wybiegł z pokoju.

Nastała straszna chwila niepewności i trwogi. Białogłowy złożyły ręce i nieruchomymi oczyma patrzyły w drzwi wchodowe, mężczyźni jednak tego namaszczenia pokory w postawach swoich nie mieli. Z pochylonym nosem, siedząc nad talerzami pełnymi mięsna wyglądali dziwnie komicznie—Sadłowski zaś w oczekiwaniu powrotu pana Aleksandra, zadawał się delikatnym obwachiwaniem nadzianej jabłkami cyranki. Jakokowicz tylko złożył dłonie nad kuropatwą i cicho szeptał koronkę do Przemienienia Pańskiego.

— Pozwoli—?

— Nie pozwoli—?

Brzmiało jurywane z różnych stron stołu.

— Nasz brylant się modli—szepnęła sąsiadce pani Adela.

Ksiądz Anioł parę razy otwierał usta, jakby chciał coś mówić, uprzedzić może zdanie biskupa, lecz widząc towarzystwo całe w modlitewnym skupieniu ducha, znowu wzrok swój skierował na Dosię, która śmiała się cicho, gryząc białymi ząbkami skórę od chleba.

Spojrzenie księdza i uśmiech ładnej mężateczki nie uszły uwagi pań.

— Czy widzisz?

— Od wczoraj mnie już coś ukłuło.

— Ja zeszłej niedzieli już zauważyłam jak szczyrzyła zęby do księdza. Właśnie spowiadałam się wtedy.

— Kokietka!

— Ooo—!...

Przy drugim stole siedziało gronko panien. Zosia, w jakimś zamysleniu, odłamała łapkę z kurczęcia i ogryzała powoli.

— Zosiu!—wrzasnęła nagle, porywając się z miejsca pani Honorata.

Na krzyk ten niespodziany całe towarzystwo się zwróciło, Zosia drgnęła, zbladła z przestachu, podniosła się, a łapka kurczęcia, trzymana lekko różowemi ustami panienki, z brzękiem na talerz upadła.

Ksiądz Anioł brwi ściągnął, i zwracając się do siadającej, a wielce tym wypadkiem zgorzzonej Honoraty—rzekł półgłosem:

— Nie róbcie panie z błahych rzeczy scen dramatycznych!

— Libertyn!—szepnęła w duchu Honorata—i oczy jak dwie szpilki utkwiała w księdzu Aniele, aż ukłucie ich poczuł.

Nagle grzmot głuchy dał się słyszeć w długiej szyi kurytarza—to biegł pan Aleksander.

Przestano szeptać—wstrzymano oddech.

— Co niesie?—pytały oczy wszystkich, zwracając się do drzwi, którymi wpadł doktor.

— Biskup... biskup—zaczął, lecz nie mógł dokończyć od wielkiego zmęczenia.

— Olesiu—mów prędzej!—naglił Sadłowski.

— Powiadam wam muzyka! miło słuchać...

— Ale biskup—biskup?... odezwano się.

— Pozwolił jeść mięso!—wyrzucił jednym tchem gospodarz.

Zawrzało—okrzyk niewysłowionej radości wzbil się pod sufit. Rzucono się z impetem

na półmiski, wrywano sobie smaczniejsze kaski, oblewano się sosami.

Nieopisane szczęście promieniało na licach biesiadników.

Sadłowski żarł jak krokodyl, dławił się, krztusił, ale pakował—dopomagał mu dzielnie pan Aleksander. Jakokowicz z niezrównaną sztuką obrabiał kuropatwę: wysysał szpik, rozdzierał skrzydełka, wysmoktywał delikatne mięsko, chrupał wątróbkę, zastanowił się nieco nad kuperkiem... Czynnościom tym dopomagał delikatny ruch uszów: gdy lewe szło ku przodowi, prawe w tył usunęło się nieco i na odwrót.

— Ojczy Aniele!—szepnęła pani Adela—nasz biskup wielki człowiek!

Ksiądz Anioł wpatrzył się w nią wzrokiem tak dziwnym, że Dosią głośnym śmiechem parsknęła.

Pani Adela przygryzła wargi, a Honorata spojrziała zezem jak gęś, gdy ją coś niezwykłego zastanowi.

## II.

## „Paljowa róża”.

— A co, panie—Kraszewski?... kręcąc okrągłą, jak kula bilardowa, głową i podnosząc do góry łuki brwi ciemnych, zaczął pan Agapit Pistroński, podchodząc po skończonej wieczery do pana Heliodora, który z jakimś prowincjonalnym komplementem do Zosi się zbliżał. Krygując się już usta otwierał, gdy Pistroński delikatnie go łokciem trącił...

— A co, panie...

— O czym pan dobrodziej mówi?—zwrócił się z zapytaniem Heliodor.

— O Kraszewskim—panie łaskawy.

Pokręcił głową.

— Prawda, panie—„Sąsiedzi”?—strach! a „Jasełka”—ajaj—pi—pi!

— Wolę Sienkiewicza—odrzekł Pikorski. Tam, panie, plastyka, ruch, życie! Obrazy jakby namalowane, wszystko mi się przed samym nosem kręci.

— E-e... protestował Pistroński.

— Nieodmawiam talentu i Kraszewskiemu—dobrze pisze...

— Mistrz, panie—mistrz!—kiwając głową—mówił pan Agapit...

Podniósł brwi i trącił łokciem pana Heliodora.

— „Jasełka”—panie?... strach!... a „Stara Baśń”? pi—pi!

Pokręcił głową i zbliżył się do Zgurskiego, którego, potrąciwszy łokciem, zagadnął.

— A co panie?...

— Ja gram!—jęknął Zgurski.

Pistroński z jakimś politowaniem głową ruszył i dalej poszedł.

— Zgubiłaś różę, Dosiu!—szepnął Henryk na ucho żonie, gdy po skończonej wieczery znaleźli się w małym pokoiku, oddalonym od, napełnionej wrzawą, sali.

Dosią szybkim ruchem ręki dotknęła kruczych warkoczów, a widząc brak, w nieprawy sposób zdobytego, kwiatka, powstała szybko i obejrzała się dokoła siebie.

— Niema, niema—mówił Henryk, pomagając żonie w odszukaniu zguby.

— Czy to czasem nie twoja sprawka?—rzuciła Dosią, patrząc bławatkowemi oczyma w twarz męża, a uśmiech poruszał jej śliczne usta.

— Jesteś dziś tak piękną, że nie chciałbym na chwilę rozgniewać ciebie, żartem nawet—odpowiedział mężczyzna.

Ujął małą rączkę ukochanej kobiety i ucałował trzykrotnie.

— Nie wydawaj więc mojego niegodziwego postępkę—zaśmiała się Dosi.

Usiedli, śmiejąc się, przekomarzając, oboje młodzi—szczęśliwi—zakochani...

Noc była ciepła—cicha, łagodny powiew wiatru przez otwarte wlatywał okno, zakradał się w fałdy zawieszanej kotary i miękkim pocałunkiem muskał czoło Dosi. W dali, hen—precz, rozciągało się miasto, a że tyły domostwa pana Aleksandra wspierały się o kraj podmurowanego wzgórze, a miasto było w dolinie—śliczny widok przedstawiał się oczom patrzących. Niebo było gwiazd pełne, a pod nim, u dołu, w jakimś nieprzejrzanim morzu ciemności, świeciły światła krwawe, przysagały tu i tam, tu i tam zapalały się, mniejsze, większe, czasem jak rozżarzone pochodnie, czasem małe, błyszczące nieruchomie, jak oczy wilków. Jakaś rudera dawnego browaru przybierała kształty fantastyczne ruin średniowiecznego zamczyska; szczerbate kominy na ciemnym tle nieba podnosiły się w konturach baszt. W tem morzu ciemności i światła grzmiał nieustannie łoskot głuchy, jakby pasowanie się dalekiej burzy.

W pokoju, w którym usiadł pan Henryk z żoną, niewiele znajdowało się osób. Był to gabinet przeznaczony dla tych, którzyby chcieli odpocząć, albo pomarzyć chwilę. Zawieszona na środku na brązowym łańcuszku lampa ze światłem, ujętem w kielich o barwie ciemnobłękitnej—rzucała blask przyémiony; tapety były lazurowe, upstrzone centkami złotymi, niby żyłki marmuru—dużo kwiatów, zieleni i mebli rozkosznie miękkich, napełniało tę małą komnatkę, którą pan Aleksander nazywał: *miejszem zmęczonych*. W tej chwili do *zmęczonych*, za wyjątkiem tylko Henryka i Dosi—należeli ksiądz Anioł i—Sadłowski.

Sadłowski, po spożyciu ogromnej ilości potraw, zalawszy to wszystko kilku butelkami piwa i wina, uczuł pewien ciężar, który jednak: *stanem błogości*—nazywał. Zasunął się w głęboki, aksamitny fotel, sapał, potniał... mlasnął czasami językiem, czknał i szepnąwszy: „idealne!” dalej sapał, potniał, dopóki nie doszedł znów do ostatniego aktu błogości. Wreszcie kiwnął się na lewo, na prawo i mocne chrapanie rozległo się w małym pokoiku dla zmęczonych.

Do takich bezwarunkowo należał ksiądz Anioł.

Oswobodzony trafem z towarzystwa nieopuszczających go na chwilę pań nabożnych, cichym krokiem przeszedł długi rząd pokojów i runął niemal na szezlong, ocierając pot rżęsiasty z czoła. Siedział długo, nieruchomy, z opuszczonemi bezwładnie rękami, zmęczone mi oczyma patrząc przed siebie, a dwie brzdę głębokie, boleści czy smutku wielkiego, zorały blade czoło kapłana. Błękitny płomień lampy na twarz mu padał, cień siedzącego odbity na ścianie rysował się ostro.

Ksiądz Anioł siedział, milczący jak posąg.

O przeszłości nie myślał—z nią zerwał na zawsze; przyszłość stawała przed nim, może jako pole walk strasznych; żył—chwilą obecną...

Kochał—cierpiał... i milczał.

Był więc podwójnie zmęczony: głupotą ludzi i—sercem własnym.

Usiadł w najciemniejszym kątku pokoju między wazonami kwitnących klonów—lecz zaledwie rozproszone myśli pochwytał, gdy coś mu w ucho zgrzytnęło niemiłosiernie.

To właśnie Sadłowski się kiwnął i po raz pierwszy zachrapał.

Po drugiej stronie wazonów stał fotel tuż koło szezlonga, na którym ksiądz Anioł usiadł. Sadłowski trzymał głowę pochyloną na lewe ramię i grał na różne tony wprost w ucho księdza.

Ksiądz Anioł pochylił się i wpatrzył w szczęśliwca.

Uczucie litości zarysowało się na twarzy kapłana, gdy wzrokiem objął ten ogrom spotniałego cielska.

Sadłowski sapał, szepnął czasem: „idealne!” mruknął, mlasnął językiem, widocznie śnił o jakiejś uczcie rzymskiej. Wspaniały brzuch śpiącego podnosił się, to opadał miarowym ruchem; złota, gruba dewizka genewskiego zegarka migotała odbitem światłem lampy.

Pan Kleofas był niegdyś właścicielem ziemskim—pół ogromnej fortuny swojej przejadł, drugą połowę sprzedał pewnemu kupcowi z Moskwy, za którą wziął parę kroć sto tysięcy rubli i, ulokowawszy je na różnych domach, osiadł w Zakutym—Grodzie, cały procent przejadał do roku najsumienniej. Jeść—było jego godłem. Co tam wszelkie mrzonki? społeczne czy narodowe zadania? Co ma być, to i bez niego się stanie. Sapał więc, przechyliwszy głowę na lewo, mrużąc swoje: „idealne!”

Ksiądz Anioł patrzył, uśmiech bolesny dwie ostre brzdę zarysował w kątach jego ust.

Ten człowiek cieszył się poważaniem ludzi—miał pieniądze.

Na sali panował gwar, jakkolwiek osób ubyło nieco, bo znaczna część gości pana Aleksandra, zjadłszy sutą wieczerzę, uważała rolę swoją za skończoną i po angielsku za drzwi się wyniosła. Wincięści w przyległym pokoju kłócili się, Pistroński, jak kura z jajkiem, z Kraszewskim się nosił, Zosia Olska usiadła do fortepianu i brząknęła skoczego mazurka.

— Ram—tam! odezwało się z różnych kątów salonu—i par kilka ruszyło w tany.

— Piątek! wrzasnęły Adela i Honorata, zrywając się z siedzeń.

Zosia w pół taktu urwała i ustąpiła miejsca „aniołkowi Józeczce”, która jakiś psalm pokutny zagrała.

Panna Józefa była wychowanicą wszystkich bogobojnych matron w Zakutym—Grodzie. Z natury prędką, co wzięła po ojcu, z dobrą dozą uporczywości, do czego się przyczyniła krew matki, wychowana przez osoby nabożne, stała się mięszaniną szczególniejszego rodzaju. Uwierzyła w cnotę, bo mówiono, że jest cnotliwą—w rozum własny, bo wmówiono w nią, że jest rozumna; traktowała więc wszystkich z góry i każdymu, albo jakąś łatkę po cichu przypięła, albo powiedziała wprost w oczy, że jest cymbał. Język miała jak brzytwę. Obawiano się więc nieco aniołka, na impertynencyje nieodpowiadano, tem bardziej, że była córką pana Aleksandra, który miał mir wielki w mieście i dobrego kucharza. Zagrany psalm pokutny kazał na chwilę uciszyć się wszystkim. Rozbrzmiewała po dużej sali posępna nuta—towarzyszył jej tylko ponury pomrok jakiś, który biegł w pewnych przestankach z pokoju zmęczonych.

Poważne odezwały się brawa, gdy panna Józefa zakończyła mocnym akordem i wstała od fortepianu.

— Józeczko! niech cię uściskam—zawołała pani Honorata, porywając w objęcia swoje aniołka.

— Córko moja!—odezwała się zawsze mil-

cząca mama panny Józefy, przygarniając ją do piersi i oczy wznosząc w niebiosy.

Jakokowicza nie było w sali.

W czasie wieczerzy jak w tęczę patrzył na Dosię, która nigdy tak piękną, tak rozkoszną mu się nie wydała. Wypiwszy zaś kilka kieliszków madery, uczuł jakiś luby zawrót głowy, który wziął za narodziny natchnień wieszczych. Nie mogąc uczuć swoich z powodu obecności pana Henryka wyjawic—skoczył szybko do gabinetu pana Aleksandra, chwycił pióro i pisać począł. Ale daremno stukał palcem w głowę, nic nie wystukał, a piękna postać Dosi, jak promienne odbicie słońca, w oczach mu stała.

„Najpiękniejsza, najmilejsza...”

— Nie...

„Chciałbym cię całować i ścisnąć,  
I ciągle nad tobą niby słońce wiosenne  
[błyskać...”

— Nierówno! szepnął—poruszył uszami, przemazał wiersz napisany i znów zaczął:

Skarby świata za ciebie dałbym,

I mieć przy swoim boku zawsze chciałbym.

— Nieżle, ale za mało uczucia... mruknął.

Wpatrzył się w sufit, ale i sufit z pomocą mu nie przybył...

— Świętości moje! szepnął—co to za kobietka! Kajciu Jakokowiczu byłbyś głupi, gdybyś jej dla siebie nie zjednął. Zdaje się nawet, że ona ma się do ciebie.

Uśmiechnął się.

— Kajciu!—będziesz szczęśliwy.

Rzucił pióro i rozgorączkowany wpadł do salonu.

Józia tylko co skończyła grać—Henryk wchodził do sali i zatrzymany przez jedną z pań, rozmawiać z nią zaczął.

Jakokowicz się obejrzał.

Byli wszyscy, prócz Sadłowskiego, księdza Anioła i—Dosi.

Sadłowski spał—tego Jakokowicz był pewny, ksiądz Anioł mógł wyjść, ale gdzie Dosi.

Oczywiście w pokoju dla zmęczonych marzy. O czym?

Jakokowicz poczuł, że mu serce mocno zabiło, przesunął się przez salę i wyciągając długie nogi, w pół pochylony, szedł do wiadomego miejsca.

Sadłowski chrapał—no, to zwyczajne! ale jakiś szmer rozmowy doleciał do ucha Kajcia.

Zboczył, przytulił się do ściany, przyłożył ucho do adamaszkowej kotary i słuchał.

Dosi rozmawiała z księdzem Aniołem.

Mówiono szeptem.

Jakokowicz aż spłaszczony się, tak przyłgnął do ściany—nagle się rozmowa urwała i ksiądz Anioł otarłszy się o kotarę, przeszedł i zniknął w dalszych pokojach. Jakokowicz wysunął ostrożnie głowę z za drzwi i rozejrzał się.

Lampa płonęła przyémionym blaskiem—Sadłowski spał w najlepsze—Dosi wsparta o okno patrzyła w niebo.

Właśnie wstawał księżyc ogromny, czerwony i łagodnym światłem oblał postać stojącą. Na tle rozjaśnionego nieco nieba ślicznie się rysowały ramiona jej, owal głowy i kibić. Jakokowicz uczuł mdłość jakąś koło serca, oczy mu jak u wilka zabłyśły, skronie krwią biły. Madera dodawała animuszu, mrugał, strzygł uszami i w resorowych podrzutach, skrzyżowawszy ręce na piersi, zbliżył się do Dosi.

— To pan?—rzekła odwracając się od okna.

— Ja—świętości moje!

(d. c. n.)